Nr. 184 Lwów — Piątek dnia 12 Sierpnia. Rok 1904.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h. w Niemczech . . . 3 k. — w innych Państwach . . . 4 k. — Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy nadsyłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie 8 h. na prowincyi 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie Agencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: Pt. św. Klary P. | Silasa Ap.
Jutro: S. św. Hipolita | Eudocyma

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o godz. 4 m. 57
Zachód „ „ 7 m. 9

Długość dnia godzin 14 minut 12
Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Z widowni wojny.

Wiadomość o tem, że jenerał Kuropatkin otrzymał z Petersburga rozkaz przejść do ofensywy, jest oczywiście tak samo niedorzeczna, jak berlińska wiadomość o srogiej pod Laojanem bitwie, podczas której Kuropatkin z całym swym sztabem dostał się do niewoli. Podobnie śmieszne bajki mogą rozsiewać tylko ci małego kalibru giełdziarze, którzy próbują wywołać zniżkę lub zwyżkę w papierach rosyjskich na tak zwanej czarnej giełdzie. Do bitwy pod samym Laojanem jeszcze przyjść nie mogło, bo według ostatniego raportu Kuropatkina front rosyjski wciąż się jeszcze rozciąga od Anszanczanu do Aupinu, to znaczy, że Laojan leży za środkiem tego frontu o jakie 30 do 40tu kilometrów. Na zupełnej równinie stanowiłoby to bardzo mało, ale w górzystej okolicy znaczy bardzo dużo. O 16 wiorst na wschód od Laojanu wznosi się do $1\frac{1}{2}$ tysiąca stóp grzbiet Wambatajski, nader stromy, złożony z cienkich płytek łupku iłowego, który jest śliski. Ten grzbiet stanowi naturalny mur, za którym Rosyanie potrafią zacięcie się bronić. Co do wrzekomego rozkazu z Petersburga, aby Kuropatkin rozpoczął ofensywę, to można jeno to powiedzieć, że podobne polecenie byłoby zupełnie zbyteczne. Każdy wódz wie, że stosownie do okoliczności powinien w każdej zgoła chwili zmieniać obronę na atak, a znów atak na odwrót. Jest jego obowiązkiem układać wszystkie swe plany w ten sposób, aby zawsze mógł robić jedno i drugie. To powinien umieć nietylko naczelny wódz, ale dowódzca batalionu i kompanii. Dawać podobne rozkazy z odległości 10ciu tysięcy wiorst jest śmiesznością. Z Petersburga mogło wyjść tylko polecenie, aby Kuropatkin jak najdłużej trzymał się pod Laojanem, iżby armie japońskie nie mogły maszerować na Mukden i dalej na Charbin, bo w tych miastach mało jeszcze wojsk, a już ogromnie dużo cennych materyałów wojennych i zapasów żywności. Kuropatkin za prędko się cofnął z Hajczenu pod Anszanczan. Widocznie nie zrobiono mu z Petersburga wymówkę, skoro on w osobnym raporcie co tylko się stało, że jest z winy jenerała Zazulicza. Nic więcej z pewnością nie polecano mu z Petersburga.

Jest to taktyką Kuropatkina, zatwierdzoną przez cara, ustępować bardzo powoli, wstrzymywać nieprzyjaciela na każdym kroku, ale nigdzie nie przyjmować walnej bitwy. Dotąd ten plan wykonywany był zręcznie, a możnaby nawet powiedzieć, że mistrzowsko, gdyby nie dwa błędy; pierwszy — to wyprawa Stackelberga na odsiecz Portu Artura, drugi — to za prędki odwrót z Hajczenu. Japończycy nigdzie nie zdołali zmusić Kuropatkina do przyjęcia walnej bitwy. Teraz starają się oni zniewolić go do tego pod Laojanem, więc swoim zwyczajem chcą go okrążyć. Kuroki zachodzi mu z północy, aby stanąć na drodze do Mukdenu, a z południa i z zachodu flotylla łodzi kanonierskich i małe torpedowce, aby rzeką Lao podpłynęły pod Laojan i zamknęły Rosyanom przeprawę przez rzekę, a więc i odwrót na zachód. Kiedy to się dzieje z północy i zachodu, Nodzu i Oku następują z południa. Tak więc Japończycy postanowili okrążyć Kuropatkina, ale nie o to im idzie, aby się on nie wymknął, lecz żeby musiał zagrać z nimi rozstrzygającą partyę. Spodziewali się oni tego pod Daszyczao, a potem pod Hajczenem, lecz on się za każdym razem wymknął, chociaż oczywiście ze stratami, bo inaczej być nie mogło. Kuropatkin taką w tem okazywał zręczność, że aż zadziwił sztab główny w Tokio. Można tedy przypuszczać, że się wyślizgnie i z pod Laojanu, jeżeli z braku żywności, bądź z innego powodu, nie będzie mógł urządzić Plewny. Słowem, mówiąc krótko: zadaniem Japończyków jest zmusić Kuropatkina do walnej bitwy, do postawienia wszystkiego na jedną kartę, a zadaniem Rosyan jest bitwy tej nie przyjąć. Jeżeli więc przyjdzie wiadomość, że ona się odbyła, będzie to dowód, że Japończycy przechytrzyli Kuropatkina.

Z Portu Artura nadeszła zła dla Rosyan wiadomość. Po gwałtownym boju Japończycy zajęli Wilczą Górę. Wznosi się ona na zachód od twierdzy, prawie tuż nad wewnętrznym basenem, oddzielonym od morza półwyspem Tygrysim. Właśnie tam, gdzie ten półwysep na kształt wąskiego języka oddziela się od lądu, piętrzy się góra Wilcza. Z niej widać miasto w kotlinie, okręty rosyjskie w porcie i tylne boki innych rosyjskich fortów. Z chińskiego miasta Czifu doniesiono, że w walce o górę Wilczą padło 4000 Rosyan, a 15 tysięcy Japończyków. Do tych cyfr nie przywiązujemy wagi; przytaczamy je tylko na dowód, że walka musiała być bardzo ostra. Na tej górze Japończycy zaczęli stawiać 60 armat, co potrwa zapewne parę tygodni; potem zacznie się bombardowanie, a że odległość góry od miasta wynosi tylko cztery wiorsty, przeto będzie ono nadzwyczaj skuteczne. Zbliża się tedy chwila, w której Port Artura po 6-miesięcznej walce wywiesi białą chorągiew.

Zatarg turecko-amerykański.

W Waszyngtonie stracono cierpliwość! — tak głosi depesza o tem, że eskadrze Stanów Zjednoczonych, złożonej z pancerników „Olimpia“, „Baltimore“ i „Cleveland“, a dowodzonej przez kontradmirała Jewella, kazano z Nizzy udać się do Smyrny i wziąć ten port turecki w blokadę. Raz już ta eskadra wyruszyła z pod Tangeru na tureckie wody, ale wówczas sułtan zaprosił do siebie posła Stanów Zjednoczonych p. Leishmana i przyrzekł mu spełnić wszystkie życzenia rządu waszyngtońskiego. Zatem polecił ów poseł eskadrze zawrócić do Nizzy. Było to miesiąc temu. Od tego czasu Turcya nietylko nie wypełniła żądań waszyngtońskich, ale jeszcze pogorszyła stan rzeczy w Armenii. Więc „w Waszyngtonie stracono cierpliwość“ — i oto pancerna eskadra admirała Jewella popłynęła do Smyrny, a gabinety paryski, londyński i petersburski natychmiast zwróciły się do sułtana z natarczywą radą, niemal z nakazem, aby niezwłocznie spełnił żądania Stanów Zjednoczonych.

O co tu chodzi, i dlaczego owe trzy gabinety tak się poruszyły?

Jest rzecz taka. Stany Zjednoczone koniecznie chcą odgrywać czynną rolę w Europie i mieszać się do wszystkich jej spraw, chociaż do spraw amerykańskich nikomu się wtrącać nie pozwalają, zasłaniając się doktryną Monroego. Najłatwiej się wcisnąć do koncertu mocarstw europejskich przez furtkę, zwaną sprawą wschodnią. Więc Stany Zjednoczone wzięły się do tego w taki sposób: najpierw założyły w Armenii i Anatolii mnóstwo swoich protestanckich misyj ze szkółkami i szpitalikami; następnie zaś każdemu Ormianinowi, poddanemu sułtana, dawały obywatelstwo swoje, jeżeli on przebył w Stanach bodaj pół roku. Ormianie chętnie zdobywali to obywatelstwo, bo potem, wróciwszy do kraju, już byli pod opieką konsulów amerykańskich. Tak w czasie bardzo krótkim miały Stany Zjednoczone mnóstwo swych obywateli w Armenii i Anatolii, a więc przy lada sposobności mogły się wtrącać do tamtejszych stosunków. Okazya niebawem się nadarzyła. W roku 1900-nym były rozruchy w Anatolii, Kurdowie wyrzynali Ormian, a głodne wojsko tureckie, przywracając porządek, rabowało na wyścigi z baszami i bejami. Rząd waszyngtoński policzył wszystkie straty domów misyjnych i straty swych licznych obywateli Ormian. Słony rachunek podano sułtanowi do zapłacenia, lecz padyszach się zdumiał, jakim sposobem jego Ormianie stali się obywatelami Stanów Zjednoczonych, potem się srodze oburzył i nie zechciał płacić. Rokowania dyplomatyczne trwały lat trzy; Porta już się była zgodziła zapłacić rachunek, ale chciała, żeby Stany zabrały sobie swych obywateli Ormian. Z Waszyngtonu odpowiedziano, że to są wolne żarty: obywatel Stanów Zjednoczonych może mieszkać wszędzie!

Tak do zgody nie przyszło. Niezbyt dawno Stany Zjednoczone musiały wysłać eskadrę do Tangeru, bo marokkański rozbójnik Rajssula porwał amerykańskiego obywatela Penicardisa. Kiedy się ta sprawa pomyślnie skończyła, polecono eskadrze za jednym zachodem wywrzeć nacisk na Turcyę. Wówczas — jak już wspomnieliśmy wyżej — sułtan przyrzekł załatwić rachunek.

Zwłoka trzydziesto-dniowa wcale nie jest wielka i nie mogła zniecierpliwić rządu waszyngtońskiiego, lecz stało się coś zupełnie nowego. Turcy w Azyi Mniejszej i Kurdowie, dowiedziawszy się, że Ormianie znaleźli opiekunów aż w Ameryce i że ci opiekunowie dokuczają kalifowi wiernych, zapałali gniewem, który znowu się skrupił na Ormianach. Od Trebizondy nad morzem Czarnem aż do Muszu na perskiem pograniczu — wszędzie zaczęły się zbrojne Kurdów najazdy, rabunki i nawet rzezie. Ofiarą tej wichury znów padły misye amerykańskie i rodziny obywateli Stanów Zjednoczonych, — tylko rodziny, bo sami ci obywatele potworzyli oddziały zbrojne, które walczyły pod gwiaździstą chorągwią Stanów, zaznaczając przez to, że nie robią powstania, jeno jako wolni obywatele Unii północno-amerykańskiej, bronią się od zbójów. Była to naturalnie swawola, którą też konsulowie Stanów surowo skarcili. Ustała już ona, ale dała powód do mniemania, że rząd waszyngtoński wywołał ruchawkę. Zwiększyła się przeto niechęć sfer konstantynopolitańskich do uczynienia zadość wymaganiom Stanów, one zaś postanowiły wykonać najpierw demonstracyę floty, a jeśli to nie poskutkuje, blokować Smyrnę.

Powiedzieliśmy wyżej, że gabinety: londyński, paryski i petersburski zażądały od Porty, aby natychmiast załagodziła zatarg ze Stanami. Postąpiły one tak wcale nie z życzliwości dla Turcyi. Rosya nie chce, aby się teraz rozwinęła sprawa ormiańska; Francya popiera w tem carat, nadto zaś dba o swój handel z Azyą Mniejszą, prowadzony głównie przez Smyrnę; wreszcie Anglia okazuje teraz przyjaźń sułtanowi, aby mieć go po swej stronie w kwestyi przejazdu statków rosyjskich przez Dardanelle; objawem tej nowej angielskiej przyjaźni jest także to, że gabinet londyński nie poparł austryackiego i rosyjskiego żądania, iżby Porta powiększyła zastęp europejskich żandarmów w Macedonii. Gabinet londyński nietylko nie poparł tego żądania, ale nadto w izbie gmin i w izbie lordów oświadczył, że się na nie nie zgadza, jako na zbyteczne, a rujnujące skarb turecki, który i tak już wydaje na tę żandarmeryę 260.000 funtów szterlingów.

Oprócz tych powodów jest jeszcze jeden, który skłonił gabinety londyński, paryski i petersburski do żądania od Porty, aby bez zwłoki usunęła zatarg ze Stanami Zjednoczonymi. Oto, chodzi im o to, aby rząd waszyngtoński nie nabył prawa do mieszania się do żadnej sprawy europejskiej, zwłaszcza zaś do wschodniej, która i bez tego ma już za dużo nianiek.

Co i o czem piszą.

Poznański korespondent *Czasu* kreśli nadzwyczaj rzewny obraz z życia nauczycieli szkół ludowych w Poznańskiem. Oto opisuje on szkołę, którą zwiedził tymi dniami w Księstwie:

O zmroku wieczornym przechodzę koło szkoły. Ładna szkoła, wiejska, sielska. Pokryta prawie cała dzikim winogradem, otoczona ogródkiem kwiatowym i sadem. A dalej za nią jasne tło pszenicznych pól i ciemna wstęga lasu. Wieś polska, dwór polski i nauczyciel Polak, p. Kotwicz, poczciwy znany mi człowiek. Ot właśnie na ławie kamiennej siedzi przed domem i zażywa wczasu wieczornego. Cały obraz cichy, spokojny, taki odmienny od tych, które nam zwykły przedstawiać pisma, z potwornym belfrem, szpiegiem czyhającym w środku wsi na każdy objaw polskości, jak pająk na muchy, ślącym berychty do władz wyższych, a za to niższych traktującym dwiema miarami. Rodziców denuncyacyami, które na nich sprowadzają kary pieniężne, a dzieci trzciną po zakrwawionych palcach, lub odpisaniem pięćset razy buntowniczemi paluszkami pięciu słów — *lieb Vaterland kannst ruhig sein*.

Tu tego wszystkiego ani śladu. Błogosławiony zakątek kraju, ominięty dotąd przez hakatystyczną hydrę. Po dawnemu, jak niegdyś za młodych lat, gdy z tej samej szkoły nauczyciel przychodził udzielać mi lekcyj do pierwszych klas gimnazyalnych, można tu wstąpić i pogawędzić trochę z jego następcą. Witam się zatem i zapowiadam, że przyszedłem na dłuższą wizytę, by dowiedzieć się, „co tu w szkole słychać“. Pan nauczyciel kłania się nisko, dziękuje za odwiedziny. Widocznie bardzo zaszczycony wizytą „ze dworu“. Chce prędko iść zmienić płócienną bluzę na czarny surdut i z biedą udaje mi się powstrzymać go od tego ceremonialnego czynu. Ale gdy siedząc obok niego na ławce powtarzam zapytanie, co słychać w szkole, odpowiada szybko i w sposób wymijający:

— Tu nic nie słychać, proszę pana. Tu nigdy nic nie słychać. Pan inspektor przybywa co tydzień i zawsze bardzo zadowolony. Tak, bardzo zadowolony.

Czuję nerwowe drżenie w jego głosie i nie nalegam dalej. Zresztą właśnie na bicyklu przyjechał umundurowany listonosz i oddaje pocztę. I on Polak, syn włodarza z sąsiedniej wsi. Po chwili znika nam z oczu za skrętem drogi, tylko dzwonek słychać coraz dalej na gościńcu, biegnącym przez wieś.

Rzucam okiem na pocztę, odebraną przez nauczyciela. *Posener Neueste Nachrichten*, *Kreisblatt* i jakieś niemieckie związkowe pisemko dla nauczycieli. Zdziwiony zapytuję:

— Jakto, nie trzymasz pan żadnego polskiego pisma?

Widzę z wyrazu twarzy pana Kotwicza, że nie w smak mu moje pytanie.

— Nie, panie. Ja żadnej polskiej gazety nie trzymam.

Przychodzi mi myśl szczęśliwa. Proszę o pokazanie lokalu szkolnego. Tam przy zamkniętych drzwiach nacieram na wylękłego nauczyciela, zapewniam, że przecież mnie nie potrzebuje się obawiać, że nas tu nikt nie słyszy. Argumenta moje zwyciężają. Panu Kotwiczowi rozwiązuje się język i otwiera serce.

— Bo widzi łaskawy pan, my nauczyciele Polacy jesteśmy teraz, jak myszy na pudle. Dusza ciągle na ramieniu. Boi się człowiek własnego cienia. Denuncyacya pierwsza lepsza, choć zupełnie fałszywa, wystarcza władzy, gdy chodzi o Polaka, by go przenieść o sto mil stąd, nad Ren, albo nad brzegi morza północnego. Dobrze jeszcze, gdy się na przeniesieniu skończy. Jeżeli oskarżenie poparte jest choćby najmniejszym dowodem, jeżeli udowodnią któremu z nas choć najlżejszą skłonność do popierania sprawy polskiej, wtedy koniec z posadą. Można wtedy zostać Polakiem na dobre, ale na bruku.

Żal mi biedaka i serce ściska się wobec tego, co mówi, ale doprawdy, zdaje mi się, że przesadza. Oględnie staram się mu to wyrazić.

— Przecież tu wieś polska, sami swoi. Tu pan niczego nie potrzebujesz się obawiać.

Lecz p. Kotwicz jednak obawia się. Niedawno jeszcze w sąsiedniej wsi zły człowiek, pijak i gałgan ostatniego rzędu, zadenuncyował nauczyciela, że pokryjomu udziela lekcyj polskich. A było to prawdą. Teraz biedny ex-sąsiad siedzi na łaskawym chlebie u krewniaka sklepikarza w miasteczku i rozpisuje listy z prośbą o najlichszą służbę prywatną. Kotwicz pożyczył mu dwadzieścia marek, których zwrot nieprędko zapewne nastąpi.

Obawy nauczyciela zaczynają mi być zrozumiałe. Na sielankę wiejską patrzę już innem okiem. Po za jej pogodnem tłem odkrywa się dramat, smutny dla mnie, ale o ileż straszniejszy dla tego biedaka, którego mam przed sobą, jednego z tych ostatnich, z tych niedobitków, którzy jeszcze jakby cudem utrzymali się w samem jądrze najwścieklejszej nienawiści germańskiej, w szkole pruskiej.

Pytam dalej a dowiaduję się rzeczy strasznych, na które nawet Poznańczyk z bliska musi patrzeć, by je w całej ich grozie sobie uprzytomnić. Z tego piekła nawet skarga jest tak cichą, że ledwie dosłyszalną. Bo tam panuje tylko jedno uczucie, strach ciągły, bezustanny, szarpiący nerwy wizyą tego, co i tak przyjść musi prędzej, czy później, ostatecznego wygnania na obcą ziemię. Kotwicz mówi, a przedemną przesuwają się sceny z martyrologium polskiego, takie krwawe, takie upokarzające, że choć już zwyczajni tu jesteśmy wielu rzeczy, łzy do oczu się cisną.

Słyszę historyę biednego chłopca, który dla chleba, w lepszych trochę czasach, przed laty kilkunastu rozpoczął zawód nauczycielski. Już w seminaryum poznał czem tutaj karyera dla Polaka. Widział nagłe rewizye w nocy, u kolegów, gdy rektor z posługaczami szkolnymi ściągał sieniki z łóżek i przetrząsał w nich słomę, czy przypadkiem polska książka w niej nie ukryta. Pamięta jak aż na piec włazili i raz rozerwali miejsce ustępowe, bo pedel szkolny powiedział, że tam musi być kryjówka polskich rzeczy. Otwierano listy, zapuszczano rękę do kieszeni, gdy uczniowie wracali z wakacyj. Rozdzielano Polaków tak, by nigdy razem w jednym pokoju nie spali, lecz zawsze z kolegami Niemcami. A pracować kazano podwójnie, potrójnie. Niemcom wysługiwali się Polacy, robiąc za nich zadania, które potem otrzymywały najlepszy numer. Ich własne zaś prace dla najmniejszego błędu, dla najdrobniejszej usterki, odrzucano, przekreślano z zapamiętaniem, rzucano z wściekłością w twarz wobec całej klasy. Szpiegostwo ze strony kolegów płacono pieniędzmi i protekcyą w szkole. To też co chwila znikał jeden z Polaków, nagle, bez pożegnania, bez poprzedniej zapowiedzi, przy wychodzeniu z sali wykładów. Pedel już znosił zapakowany kuferek ze schodów i stawiał go przed bramę gmachu, *ad usum* wypędzonego.

Ale on, Kotwicz, nie dał się wypędzić. Miał silną wolę i postanowił przetrwać, bądź co bądź. Był też ostrożnym tak, że, jak powiada, niemal bał się myśleć po polsku. Śpiewał głośniej od innych *Deutschland, Deutschland über alles*, oszczędzał grosiki kieszonkowe, dane przez rodziców i raz całą markę ofiarował na składkę, otwartą w szkole przez nauczycieli na pomnik Bismarka. I przetrwał. Uzyskał nawet posadę nauczycielską w pobliżu wsi rodzinnej, cel swych marzeń. Teraz siedzi tam od lat już kilku, a zawsze tak, jak gdyby był jeszcze w seminaryum, jak mysz w pudle. Po polsku do dziecka słowa nie przemówi, z Polakami mało się wdaje, odwiedza sąsiednich nauczycieli Niemców i podlewa starannie *Kaiser Wilhelmseiche*, dąbek, posadzony przed szkołą w obecności pana inspektora i pana komisarza i pana żandarma na pamiątkę zmarłego dziada obecnego monarchy. To też

1)

Feljeton literacki.

Ad astra! Dwugłos przez *Elizę Orzeszkową* i *Juliusza Romskiego*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1904.

Ad astra! Do gwiazd! Podczas gdy umysł innych pisarzy współczesnych z rzeczy ziemskich swe tematy czerpie, dusza Orzeszkowej coraz częściej te rzeczy opuszcza i wzbija się pod gwieździste niebo ideałów, w rozrzedzone powietrze abstrakcyi, gdzie zwykłemu śmiertelnikowi oddechu brakować poczyna, skąd się ziemia już tylko małą kulą wydaje. Ale im bliżej świecą gwiazdy ideałów, tem trudniejszym jest powrót na ziemię, im więcej mowy o ludzkości, tem mniej widać ludzi. A przecież dla ludzi się tu wszystko dzieje, miłość do nich stawia się na piedestale, uszczęśliwianie ich jest najwyższym celem autorki.

Ona to sama mówi przez usta Seweryny Zdrojowskiej, bohaterki powieści, młodej właścicielki Krasowiec na Litwie, która od dziecka nauczywszy się rezygnacyi, strzeże czujnie ziemi ojców, opiekuje się cudzemi dziećmi, wzbrania się wyjechać po za granice swojej puszczy i używać świata. Jestto kobieta, skrojona na podobieństwo olbrzymek Rodziewiczówny, bardzo mądra, bardzo samotna i bardzo szlachetna, ma przytem tę małą ambicyę, że chętnie nazywa się dziką. Autorka wymalowała ją z szczególnym pietyzmem, otoczyła ją nawet jakąś mgłą mistyczną, bo w puszczy każe się jej wsłuchiwać w głosy jakiegoś podziemnego dzwonu, każe jej mieć tajemnicze rozmowy z łanią na wzór Plutarchowego Sertoryusza, odwiedza ją nawet w chwili upadku ducha widmo brata, który niegdyś poszedł w szeregi powstańcze i zginął. Otóż ta Seweryna ma krewną, młodziutką, uzdolnioną pianistkę Henrykę, którą w Giessbach poznał młody, genialny przyrodnik Tadeusz Rodowski, zainteresował sobą mocno, a potem, gdy już w sercu dziewczęcia miłość kiełkować zaczęła, opuścił. Seweryna, aby pocieszyć biedaczkę, i na nowo niespodzianie zetknąć z sobą oboje młodych ludzi, zaprasza do Krasowiec owego Rodowskiego, który jest również jakimś jej dalekim krewnym. Rodowski odpowiada z Interlaken w Szwajcaryi, odmawia przybycia na Litwę, usiłuje natomiast nakłonić Sewerynę do wyjazdu do Szwajcaryi, aby się trochę rozerwała. I Seweryna odmawia, ale listy nawiązały już między nimi nić duchową; zaczyna się korespondencya, w której oboje pokazują sobie najgłębsze i najpiękniejsze skarby swego ducha. Ta korespondencya wypełnia największą część powieści.

Rodowski jest wprawdzie postacią tak samo skrojoną na miarę Fidiasza, jak Seweryna, ale bądź co bądź ma w sobie już więcej pierwiastku ludzkiego, sympatycznego. Ten człowiek nie jest już tak nieznośną doskonałością, jak Seweryna, ma krew w żyłach, jest przynajmniej dumnym aż do pychy, i zalotnym na swój sposób, choć zdaje się o tem nie wiedzieć. Jak Seweryna jest uosobieniem altruizmu i poświęcenia, tak Rodowski jest uosobionym geniuszem wiedzy ogarniającej wszechświat: ta wiedza jednak przedstawia mu się jako zimna, nieugięta potęga, zaklęta w cyfry, a pogardzająca zupełnie sprawami ziemskiemi, czemże są bowiem losy tej planety, czem altruistyczne wysiłki takiej Seweryny wobec strasznych zagadnień kosmicznych, któremi on się zajmuje. Sam dość dumnie porównuje się z sfinksem, patrzącym w gwiazdy, i rzeczywiście przypomina nam znany rysunek Saszy Schneidra „Nieskończoność“, wyobrażający człowieka, który opierając się na sfinksie, patrzy w gwaździste niebo naokoło.

Jak jedna strona chciałaby drugiej narzucić swoje ideały albo przynajmniej zdobyć dla nich uznanie, jak w rozumowania teoretyczne wplata się powoli nić sympatyi i wpływa na nie, jak się wreszcie oboje zachwiewają na swoich stanowiskach — oto treść korespondencyi. Rozsypują w niej oboje skarby myśli, uczucia, stylu, rozkochania się w przyrodzie. Seweryna w pierwszym liście przesyła kuzynowi „trochę leśnych woni naszych, trochę szmeru rzek naszych, kroplę z mgieł, budujących na łąkach pałace czarnoksięskie i promyk ze świecących nademną gwiazd“ — i w każdym następnym liście tło myśli swoich podmalowuje wspaniałymi obrazami przyrody litewskiej. Rodowski odwzajemnia się opisami wspaniałości Alp śnieżnych i chmurnych, na których tle znowu jego ideały dosadniej się uwydatniają. Ileż tu myśli, wyrażonych mową tak przedziwnie poetyczną, iż nieraz się nie spostrzega, że owa myśl sama właściwie nową nie jest. Często jednak spotykamy myśli bardzo subtelne i głębokie, a zawsze wzniosłe, przepojone szlachetnością, owiane uroczystym nastrojem. Najciekawsze są te ustępy, w których jedno podejmuje myśl rzuconą przez drugiego, lecz zaraz nadaje jej inną barwę, czyni z niej argument na swoją korzyść i tak powstaje gra, w której myśl jest piłką, zręcznie rzucaną i odrzucaną przez obie strony.

I tak np. pisze Seweryna Rodowskiemu, że podczas jednej z przechadzek swoich u stóp lipy podjęła liść świeżo z gałęzi upadły, gęsto osypany kroplami rosy. „Z drobnej tej rzeczy biła taka świeżość i świetność, jakby nie wiatr tylko co strącił ją z drzewa, lecz Anioł skrzydłem porannem zwiał z raju. Może się mylę, lecz nieraz myślałam, że subtelność drobnych tworów natury więcej jeszcze niż przepych olbrzymich odsłania zdumiewającą niezliczoność i delikatność nici, któremi zasnute są krosna arcymistrza Stwórcy“.

Rodowski zaraz używa tego szczegółu, aby przekonać swą partnerkę o tem, że niekiedy przecież i głosu własnego egoizmu wysłuchać potrzeba. Czyni to w formie jak najpetyczniejszej:

„Spostrzega Pani listek przez wiatr strącony i podziwia subtelny rysunek żyłek jego, albo błyszczące na nim perełki rosy, lecz tego, co ten liść, co te perełki opowiadają, nie słucha lub słuchać nie chce. To prawda, że mowa tych drobnych pyłków jest, mimo ich odrębności, równie potężną, jak głęboki szum Aaru, lub hymn purpurowy, który o zachodzie słońca śpiewają lodowce Jungfrau; lecz cóż, skoro Pani jej nie słucha i woli przysłuchiwać się melodyi własnych myśli, zaludnianych przez bóstwa dawnych mitologii, przez mistyczne postacie ludowej poezyi! Pani słyszy szelest skrzydeł anioła, zwiewającego z drzew liście pod jej stopy, a nie słyszy głosu przepotężnego, który grzmi po wszechświecie, po wszechczasie i niekiedy przemawia do człowieka językiem umarłego liścia. Winne są temu zapewne legendy, opowiadane i śpiewane dziecięciu przez matkę, albo piastunkę, winne temu zasady rozmaite, wyznawane przez otaczające Panią społeczeństwo, winna może skromność i nieopatrzność umysłu dziewiczego, który nie śmiał zrazu sięgnąć poza domowe opłotki, a później, gdy zmężniał i ożywił się porywami młodości, upiększył sobie podwórko jak mógł i umiał, byleby tylko módz wytrwać w niem i przy niem.

„Upiększał sobie umysł ten podwórko ciasne, wyklejał je pozłacanemi kulisami, ozdabiał figurynkami domowych cnót i domowej przeszłości, rozświetlał gwiazdkami domowych ideałów: aż pewnego dnia, gdy już wszystko było gotowe, wystrojone, woniami anielskiemi skropione, spostrzegł, że mu ciasno, duszno, nudno, i zawołał na takiego krnąbrnego jak ja apostatę“.

Lecz Seweryna odpiera te uwagi, przyznając się do idealizmu i egzaltacyi w następujący sposób:

„Czy zauważyłeś kiedy kuzynie, jak powszechnie rzeczy największe są zarazem najprostszemi? Obowiązek, to linia niezmiernie długa, lecz zarazem prosta. Winnam więc pracę; wzięłam, więc zwracam. Ciało moje, z ziemi tej, z jej powietrza, kłosów, owoców, ze słońca, które nad nią świeci. Duch mój, ze zbiornika duchowego, który z trudem i bólem, bez miary, ni cyfry, zgromadziły pomarłe pokolenia narodu mego. Jak sznur żórawi w oddal, tak płynęły one w górę ku dobru i światłu, temu zawdzięczam, że barbarzyństwo nie gnie mi karku do ziemi, a oczom wznosić się nie przeszkadza ku mlecznym szlakom wysokich pociech i uciech. Z kolei jestem wspólnie z pokoleniem rówieśnem żórawiem lecącym w dal jeszcze wyższą, w wyż jeszcze dalszą. Mogęż zwinąć skrzydła dlatego, aby osiąść nad żerem obfitszym? Nie byłżeby to wstyd? Nie byłżeby żal?

„Ale to jeszcze nic. To jeszcze chłodne, oschłe, niemocne. W tem jeszcze musi być coś, co obowiązkowi, jak ogień żelazu nadaje ciągliwość i sprężystość, co jak żyła kruszcowa skałę, przerzyna go tęczą blasków, co z niego jak stal z krzemienia, krzesze iskry. Musi być w tem jeszcze prawdziwy *nervus rerum*, ta najwyższa racya ludzkich czynów, którą ty kuzynie, nazywasz — baśnią“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

gdy inni na bruku lub na wygnaniu, jego nie ruszają z miejsca.

— Bo też — dodaje — inspektor okręgowy porządny człowiek i wyrozumiały.

Mily Boże! Takie to stosunki nazywają się wyrozumiałością! A jednak nazywają się słusznie. Bo p. Kotwicz, choć jest takim, jakim go opisałem, ryzykuje jednak wiele, bardzo wiele. I jest śmiałym, bardzo śmiałym. Po pierwsze, nie bije dzieci szkolnych nigdy, zasadniczo. Po drugie, rozmawia w domu, w pokoju, z rodziną po polsku. To jest odwaga nie lada. Odprawiona sługa, żyd kupujący gęsi, byle kto, pierwszy lepszy, może wypaplać... i tu w tajnych *Berichtach* inspektora do władzy wyższej, podawanym jest zawsze jako *deutsch sprechend in der Familie*. Oficyalnie zapytuje go o to od czasu do czasu inspektor, a wtedy żona i dzieci, wytresowane jak na musztrę, natychmiast odpowiadają po niemiecku i zaręczają, że *mit dem Papa sprechen wir nur deutsch*. I poczciwy inspektor, który wie, co bieda ludzka, zadowalnia się tem i nie czyni tego, co czynią inni, nie bada dalej, nie pyta sług, sąsiada, jedynego Niemca, zamieszkałego we wsi. Nie szpieguje. To też p. Kotwicz nosi go w sercu i obawia się jak ognia zmiany w inspektoracie.

Lecz wracam do tego, co mówił o biciu. — Więc biją jeszcze, pomimo Wrześni, pomimo skandalu europejskiego, który z tego wyniknął? Nauczyciel uśmiecha się smutnie.

— O panie, biją jak bili po wsiach, w miasteczkach są trochę ostrożniejsi. Ale też tam śmielsze dzieci. Zaraz idą na skargę do rodziców. A teraz wolą tam u góry, by w gazetach o tych sprawach już nie pisano. Lecz w głuchej wiosce wszystko wolno. Nauczyciel dokazuje ile chce. A skarga jakże rzadka, a gdy nastąpi, jak rzadko skuteczna. „Berychty" i sprawozdania ciągną się bez końca, wolą nie rozpoczynać sprawy. Tak np. niedaleko stąd o dwie mile, pobił nauczyciel polskiego chłopca, tak, że dziecko leżało przez dwa tygodnie. Ojciec chciał skarżyć, ale właśnie, nabywszy kawał gruntu, spodziewał się konsensu na budowę domu. Obawiał się szykan, więc rzecz puścił płazem. I tak najczęściej bywa.

— A jakie postępy w niemieckiem?

— To zależy od pojętności dziecka więcej, jak od jego pilności. Nie wolno nam bowiem używać żadnego słowa polskiego przy uczeniu niemieckich nazw przedmiotów. Nauka rozpoczyna się od tego, że na dużych obrazach ad hoc, wskazujemy palcem na dany przedmiot, zwierzę, lub roślinę i po niemiecku wymawiamy jego nazwę. Dziecko widzi rzecz i słyszy niemieckie słowo. Prócz tego przemawiam do nich wogóle tylko po niemiecku, nawet w nauce religii. Innego sposobu porozumienia się pomiędzy nami nie ma. Więc dziecko pojętne wcześnie przyswaja sobie niemieckie wyrazy, określające dany przedmiot lub pojęcie. Dziecko tępe — później. Ale po roku lub półtora rozumieją mnie wszystkie, a starsze czytają, piszą i mówią po niemiecku niemal poprawnie.

Przeglądam zeszyty. Rzeczywiście rezultaty świetne, błędów bardzo niewiele.

— Więc wyrosną nam z tej dziatwy prawowierne bursze i „malde" niemieckie? — zapytuję.

Kotwicz zaśmiał się wesoło. — Po raz pierwszy od rozpoczęcia naszej rozmowy.

— Gdzieżtam, kochany panie. Po polsku czytają doskonale, przynajmniej w naszej okolicy. O tem pamiętają rodzice, a także i dwory, gdzie dwór polski. Ze szkół wiejskich w Księstwie wyjdzie jeszcze tęższa generacya włościan, jak poprzednia. A tam, gdzie biją, gdzie dziecko cierpi bezustannie, tam wyrastają patryoci może aż nazbyt czerwoni. Nas, nauczycieli Polaków, wygnają tu i ówdzie, a resztę, ale polskości nie wygubią nigdy.

Poczciwiec ożywił się. Jakby przerwała się w nim zapora, tamująca oddawna swobodne słowo, kreśli tuż przedemną obrazki z życia szkolnego, jeden po drugim. Dowiaduję się, że dzieci muszą przedewszystkiem umieć na pamięć nazwiska wszystkich królów pruskich, a także i książąt domu panującego obecnie żyjących. W tym przedmiocie nie można być zbyt niedbałym; wizytacya dla nauczyciela na tym punkcie po prostu jest nieubłagana, a w danym razie karanym jest nauczyciel, nawet Niemiec. P. Kotwicz opowiada mi, jak kiedyś podczas egzaminu inspektor zadał pytanie dziecku, jak na imię synom cesarskim? — Dziecko wyliczyło cztery imiona, piątego mu zabrakło. Inspektor pyta się ponownie i czeka. Nauczycielowi pot zimny wystąpił na czoło. Słychać szept podpowiadania z drugiej ławki:

— Prinz Joachim, Joachim. I nagle rozlega się głośno odpowiedź zaiknionego dziecka:

— Prinz Baldachim!

— Nauczyciela jakby piorun raził. Ale inspektor ani drgnął i spokojnie mówi do dziecka:

— Noch einmal. Also Prinz Joa...

— Joachim — brzmi wreszcie poprawna odpowiedź.

— Panie — dodaje Kotwicz — takich inspektorów mamy już niewielu.

Nagły turkot powozu przerwał naszą rozmowę. Powóz zatrzymuje się przed szkołą. Oto on, o którym mowa, inspektor we własnej osobie. Wychodzimy do niego. Ociemno już zupełnie. Ściskam rękę nauczyciela, a on jakby chciał uprzedzić moje słowa pożegnania, — żegna mnie po niemiecku:

— Danke für den Besuch. Auf Wiedersehen.

Odchodzę, słysząc jeszcze, jak inspektor mówi do Kotwicza, że wstąpił, by mu donieść, że w tych dniach będzie lustrował szkoły w powiecie nadradzca z ministerstwa oświaty, który zjeżdża w tym celu z Berlina. Wielka wiadomość i wielkie przygotowania.

Takiem jest życie nauczyciela Polaka, który postanowił p r z e t r w a ć.

Korespondencye.

Wiedeń 10 sierpnia.

(Setna rocznica ogłoszenia Austryi cesarstwem. — Prater w dniach kanikuły. — Policya przeciw automobilistom i kolarzom. — Nagroda Banku austro-węgierskiego za wykrycie fałszerzy not stukoronowych.)

(y). Jutro przypada ważna rocznica w dziejach Austryi, a mianowicie setna rocznica ogłoszenia Austryi cesarstwem. W dniu 11 go sierpnia 1804 r. bowiem cesarz Franciszek II złożył godność cesarza niemieckiego, a imieniem własnem i swoich następców przyjął godność cesarza Austryi i jako pierwszy cesarz austryacki zaczął panować pod imieniem Franciszka I. Po nim — jak wiadomo — objął rządy Ferdynand I, a po Ferdynandzie panujący obecnie Franciszek Józef I. Proklamacya cesarstwa austryackiego nastąpiła wśród bardzo trudnych dla państwa Habsburgów okoliczności i dlatego też jutrzejsza rocznica nie może być zaliczona do obchodów radosnych i jubileuszowych. Nikt jej też nie obchodzić nie zamierza. Idzie tylko o przypomnienie faktu, że przed 100 laty pod naporem wypadków dziejowych, państwo Habsburgów zmieniło swą nazwę. Bezpośrednim powodem tego była rosnąca ustawicznie potęga Napoleona I. Trzy miesiące przed proklamacyą cesarstwa austryackiego w dniu 18 maja 1804 r., przywdział Napoleon I koronę cesarską francuską i nie taił się z tem, że dąży do wskrzeszenia monarchii Karola Wielkiego i do odebrania domowi habsburskiemu godności i tytułu cesarzy rzymskich. Rozważny Franciszek II uznał, że ten tytuł, chociaż wiązały się z nim tak piękne wspomnienia historyczne, nie przedstawiał jednak już istotnej wartości. Na elektorów bowiem niemieckich, t. j. książąt Rzeszy, nie można już było liczyć, jedni z nich bowiem, t. j. ci, których posiadłości leżały nad Renem, znajdowali się w zupełnej zależności od Napoleona I, inni zaś niechętnem okiem patrzyli na dom habsburski i zachodziła obawa, że w razie śmierci Franciszka II korona cesarska może przepaść dla domu habsbursko-lotaryńskiego, gdyż elektorowie nie wybiorą członka tego domu cesarzem, lecz Napoleona. I oto powód, dla którego Franciszek II, składając koronę cesarstwa rzymskiego, zrzekł się tem samem nominalnej władzy nad temi państewkami niemieckiemi, które i tak nie były właściwie pod jego władzą, a podniósł do godności cesarstwa te królestwa i kraje, które stanowiły bezsprzeczne dziedzictwo Habsburgów.

Przedsiębiorąc ten krok doniosły miał Franciszek II lat 36 i robił wrażenie człowieka chorowitego i dlatego też doradzcy jego, obawiając się, że może nie długo pożyje, popierali plan ogłoszenia Austryi cesarstwem i zapewnienia przez to korony cesarskiej dzieciom Franciszka II. Tymczasem ów chorowity Franciszek II dożył podeszłego wieku i jeszcze jako cesarz Austryi rządził lat z górą trzydzieści. Z urodzenia był on raczej Włochem, niż Niemcem, mówił też nierównie lepiej po włosku, niż po niemiecku. Urodził się we Florencyi 12 lutego 1768, jako syn wielkiego księcia toskańskiego, późniejszego cesarza Leopolda II. Gdy babka jego, cesarzowa Marya Teresa przez umyślnego gońca otrzymała w godzinach wieczornych wiadomość, że we Florencyi urodził się jej wnuk, tak się tem ucieszyła, że tak jak stała ubrana pobiegła korytarzami do połączonego z Burgiem teatru nadwornego, wpadła do loży i na głos zawołała do zgromadzonej publiczności: „Leopold hat einen Buben bekommen". Koronę cesarstwa rzymskiego objął Franciszek II po swym ojcu Leopoldzie w r. 1792 mając lat 24. Panujący obecnie Cesarz Franciszek Józef I jest jak wiadomo w prostej linii wnukiem Franciszka II.

Restauracye i kawiarnie ogrodowe w Praterze robią w tym roku świetne interesa, gdyż z powodu szalonych upałów, jakie panują w mieście, wszystko co żyje, śpieszy wieczorem do Prateru, aby bodaj parę godzin spędzić na powietrzu. Uboższe warstwy ludności zapełniają więc szczelnie ogródki t. zw. Wurstelprateru, zaś dystyngowańsza publiczność dąży przeważnie do „Wenecyi" w Praterze, która zatrzymała swą nazwę, aczkolwiek nie ma w niej już nic weneckiego, bo i sztuczne kanały zasypano i włoscy śpiewacy i mandoliniści nie produkują się tam więcej, lecz ustąpili miejsca przedstawicielom czysto lokalnej muzy wiedeńskiej t. j. „Volkssängerom". W teatrzyku w „Wenecyi" dają obecnie z ogromnem powodzeniem operetkę „Jung-Heidelberg" przerobioną ze spuścizny po Millökerze.

Cykliści i miłośnicy sportu automobilowego bardzo są zirytowani najnowszemi zarządzeniami policyjnemi, wydanemi celem zwiększenia bezpieczeństwa publicznego, a ukrócającemi znacznie swobodę wyprawiania harców na automobilach i bicyklach, które wielu ludzi już przyprawiły o kalectwo. Przedewszystkiem zabroniono zupełnie jeździć na kole lub automobilem główną aleją w Praterze, nadto postanowiono, że jeżeli cyklista chce dostać się z jednej strony ulicy na drugą, to musi zleźć z bicyklu, iść piechotą i wlec ze sobą swój rower, wreszcie ogłoszono, że każdy jadący automobilem lub bicyklem musi bezwarunkowo być posłuszny zarządzeniom i wskazówkom straży policyjnej, gdyż w razie nieposłuszeństwa będzie za to bardzo surowo karany. Wkrótce zaprowadzony zostanie jeszcze przymus numerowania automobilów. Każdy automobil będzie musiał być oznaczony wielkim i zdaleka widocznym numerem, skutkiem czego odebrana zostanie panom automobilistom możność salwowania się ucieczką w razie, gdy staną się powodem jakiegoś nieszczęśliwego wypadku.

Jak wiadomo, przed kilku tygodniami aresztowano tu braci Liebel, z których jeden był technikiem dentystycznym i miał własne atelier w Wiedniu; aresztowano ich zaś za to, że podrabiali fałszywe noty stukoronowe i puszczali je w obieg. Dyrekcya banku austro-węgierskiego przesłała obecnie policyi kwotę 10.000 koron na nagrody dla tych osób, które najwięcej przyczyniły się do wykrycia i aresztowania Lieblów. Z kwoty tej dała policya 6.000 koron ajentowi giełdowemu Bodensteinerowi, który pierwszy doniósł policyi, iż Lieblowie fałszują pieniądze, resztę zaś rozdzielono między rozmaitych funkcyonaryuszy policyi.

Taktyka wojenna Japończyków.

Z rozmaitych oznak okazuje się, że jenerał Kuropatkin mimo ciągłych klęsk armii rosyjskiej, nie stracił jeszcze nadziei, że w końcu szczęście wojenne odwróci się na niekorzyść Japończyków. Między innemi wskazują na to słowa, wyrzeczone przez niego w pewnej rozmowie, gdy była mowa o sukcesach oręża japońskiego. Powiedział on wówczas: „Zapłaciliśmy daninę nieznanej nam zrazu taktyce japońskiej. Miejmy nadzieję, że odbierzemy ją z lichwą".

A więc wódz rosyjski przyznaje, że japońska taktyka ma jakieś odrębne cechy, które wojsku japońskiemu dają w operacyach pewną przewagę, zanim przeciwnik się na nich nie pozna i nie zastosuje się do nich. Te odrębne cechy starał się przedstawić szczegółowo korespondent wojenny *Nowego Wremienia*. Traktuje on kolejno wszystkie główne momenta akcyi wojennej, a więc pochód, rozbijanie obozu, rekonesanse, zajmowanie i umacnianie pozycyi, bitwę i atak, ściganie, odwrót.

Oto mianowicie, co on pisze:

Pochód.

Co do pochodu wojennego, Japończycy trzymają się tej zasady, że unikają dolin i wklęsłości terenu, a odbywają ruchy ścieżkami górskiemi. Osiągają przez to następujące korzyści:

a) nie potrzebują przeprawiać się tak często przez rzeki nieraz po parę razy przez jednę i tę samą;

b) nie potrzebują obawiać się obejścia ani zasadzek ze strony nieprzyjaciela;

c) ruchy ich mniej są widoczne dla nieprzyjaciela.

Przejścia przez góry odbywają się stosunkowo pomału, co tłumaczy się ostrożnością Japończyków i rozważnem oszczędzaniem sił żołnierza. Przed wojskiem japońskiem zawsze idą Chińczycy, którzy przeszukują każdy krzak napotkany na drodze. Czynią to oczywiście z nadzwyczajną ostrożnością, a Chińczyk — jak wiemy — wcale niechętnie przenosi się do wieczności.

Za Chińczykami postępują drobne podjazdy, zawsze na podkładzie piechoty: za 3—4 jeźdźcami potępują 4—5 pieszych. Gdy jeźdźcy zaczynają jechać kłusem, ich piesze cienie biegną za nimi.

Za podjazdami idą oddziały czołowe, za nimi postępuje wojsko niewielkiemi kolumnami z dużemi przerwami według grup.

Kawalerya zazwyczaj postępuje nie przed piechotą, lecz za nią, osłaniając artyleryę.

Transporty i furgony idą daleko w tyle, tak, że wojska rosyjskie przy starciach z Japończykami, nigdy prawie furgonów japońskich nie widziały. Transporty po większej części naładowane na mułach i kulisach. Na kulisów werbują Japończycy Chińczyków i Koreańczyków.

Wypoczynki częste, lecz niedługie. Podczas deszczu i upałów Japończycy o ile możności unikają marszów, jak również w nocy, uważają bowiem sen za niezbędne pokrzepienie. Wartownicy japońscy nieraz zasypiają na stanowisku.

Rozbicie obozu.

Japończycy wolą biwakować w polu, aniżeli rozmieszczać się na nocleg w kwaterach po wsiach i miastach. Przy wielkich drogach również nie lubią rozbijać obozu, a wybierają miejsca ukryte, w górach. Wyjątek stanowią przełęcze; wówczas rozbija się obóz przy głównej drodze.

W obozie panuje zwykle zupełny komfort. Oficerowie, a nawet żołnierze mają plecione meble słomiane: fotele, sofki; fanzy dla przełożonych zaraz przy rozbiciu obozu obija się tapetami.

Za armią postępuje dosyć kobiet, które gotują potrawy, pielęgnują chorych i rannych itd. Jest pomiędzy niemi wiele Chinek.

Ogni zazwyczaj Japończycy nie rozkładają, a jeśli kiedy tego zachodzi potrzeba, to na noc je gaszą.

Na biwakach przestrzegane są wzmocnione środki ochrony i to podwójne: z piechoty i konnicy; warty i kordony rozstawia się, niby szachownicę.

Przy obozowym rozmieszczaniu Japończycy nadto uciekają się do furażowania, a zazwyczaj Chińczycy dostarczają im potrzebne dla wojska zboże, słomę, artykuły żywności, drzewo. Płacą nie bardzo hojnie, lecz sprawiedliwie. W stosunkach z miejscową ludnością chińską trzymają się takiego systemu:

a) pól i fanz nie tykają; Chińczycy obowiązani są na każde żądanie dostarczać potrzebnej ilości — kobiet; b) władze miejscowe zniewala się groźbą i przekupstwem; c) wszystkich winnych zdrady, lub tylko o zdradę podejrzanych Japończycy karzą doraźną śmiercią.

Rekonesanse.

Rekonesanse japońskie doskonale zorganizowane, i niejedno swe zwycięstwo zawdzięczają Japończycy dokładnym wiadomościom o każdym ruchu przeciwnika. Wywiady odbywają się na rozgałęzionym, ściśle zorganizowanym systemie szpiegostwa, w którym wielką pomoc okazują Chińczycy. Na całej przestrzeni w pasie zbliżenia z nieprzyjacielem rozrzuconą jest cała sieć miejscowych szpiegów, których obowiązkiem śledzić każdy ruch wojsk rosyjskich. Szpiegom tym płacą Japończycy ogromne sumy, ale też wymagają wiadomości dokładnych, a za fałszywe informacye, — cóż dopiero mówić o zdradzie — karzą śmiercią.

W rekonesansach czysto wojennych Japończycy doszli również do wysokiej doskonałości; pomaga im w tem dar oryentowania się i niezmierna odwaga oddziałów rekonesansowych.

Szybka zaś komunikacya sygnałowa i za pomocą telegrafu bez drutu ułatwia zadanie, tak, iż Japończycy zazwyczaj rozpoczynają bitwę w pewnej świadomości warunków, śród których walczyć mają i poinformowani jak najdokładniej o liczbie wojsk, o rozmieszczeniu bateryj i ruchach nieprzyjacielskich.

Bitwa.

Japończycy atakują zazwyczaj tylko przeważającą liczebnie siłą i nigdy nie rozpoczynają ataku bez artyleryi. Niewątpliwie objawy, zapowiadające atak japoński, są następujące.

a) pojawienie się w górach w znacznej liczbie całej partyi szpiegów Chińczyków.

b) porzucanie całych wsi i osobnych fanz przez ludność miejscową.

c) urządzenie przez Chińczyków stacyj sygnałowych na dominujących nad pozycyą wyżynach.

Punkt ciężkości samej bitwy spoczywa w przygotowaniu ostatecznego rezultatu za pomocą ognia, przeważnie artyleryjskiego.

Baterye japońskie często uciekają się do strzelania za pomocą z góry przygotowanej kwadratury, kontrolowanej przez sygnały, do niewidzialnego celu. ażeby same baterye mogły pozostać w ukryciu.

Kiedy pierwszy pocisk skontrolowano już za pomocą sygnalizacyi, Japończycy uderzają pełnym ogniem na artyleryę przeciwnika i starają się zmusić ją do milczenia; gdy im się to uda, wówczas koncentrują ogień na piechocie.

Strzelają zazwyczaj bezładnie, w widocznym pośpiechu, z tem obliczeniem, aby wprowadzić przeciwnika w błąd, co do istotnych swych sił. Pociski i patrony szybko zostają zużyte i dowóz amunicyi skutkiem tego często się opóźnia. Celność pocisków niekiedy bywa znaczną, ale częściej Japończycy biorą ilością pocisków, niż ich stosunkową celnością. Słowem w walce artyleryjskiej Japończycy odznaczają się hojnością, graniczącą z marnotrawstwem.

Artyleryę rosyjską starają się Japończycy przynęcić, jak najbliżej, gdyż ich górskie baterye gorzej działają na odległość, niż rosyjskie działa dalekonośne. Dowodem tego bitwy pod Wafangou i Ajan-Jamgajem.

Nie ma prawie ani jednego natarcia japońskiego bez usiłowania obejścia i oskrzydlenia flanków nieprzyjacielskich; ulubiony to manewr armii japońskiej.

Japończycy po bitwie rzadko kiedy ścigają nieprzyjaciela; tłumaczy się to w części gwałtownością natarcia, po którem następuje znużenie, po części zaś obawą zasadzki. Wogóle bowiem ostrożność wielka i rozwaga jest charakterystyczną cechą taktyki japońskiej. Pewien fachowiec określa też taktykę japońską następującym aforyzmem:

„Bądź przewidującym i ostrożnym i dopiero przekonawszy się o wygodnych dla siebie warunkach uderzaj na pewno, ale zawsze pod osłoną".

Do jakiego stopnia Japończycy są ostrożni i unikają strat, dowodzi tego okoliczność, iż wiedząc, że kawalerya ich słabszą stosunkowo jest od rosyjskiej, nigdy prawie nie prowadzą jej do boju. chyba przy stanowczej i niewątpliwej przewadze liczebnej.

Zajmowanie pozycyi.

Kiedy oddział japoński upatrzy sobie jakieś miejsce dla zajęcia pozycyi, wysyła naprzód Chińczyków celem przeszukania całej miejscowości. Jeżeli Chińczycy, powróciwszy, dadzą znać, że nieprzyjaciela w pobliżu nie ma, to przednie oddziały rozsypują się w łańcuchy, biegną naprzód, zajmują pozycyę i kładą się w szyku bojowym, przyczem niekiedy zaraz następuje ostrzeliwanie podejrzanych wyżyn w okolicy, nawet z dział.

Kiedy już stwierdzonem zostanie, że okolica jest wolną od nieprzyjaciela, wówczas dopiero, na rozkaz dowodzącego, zbliżają się główne siły. Niebawem rozpoczyna się kopanie okopów, co czyni się z właściwą Japończykom dokładnością i znajomością rzeczy.

Następnie Japończycy dokonują dokładnych pomiarów miejscowości, mianowicie określają odległość wszystkich wyróżniających się przedmiotów z przodu i na flankach, jakoto szczytów górskich, grup drzew na wyżynach położonych, rzek, osobno stojących budowli itd. Cały obręb obrony rozbija się na kwadraty; na przygotowanych w tym celu tablicach szkicuje się plan miejscowości i obok każdego przedmiotu stawia się odległość, odpowiedni numer kwadratu i wysokość celowania. Tablice te wystawia się na widocznych miejscach, a oficerowie tłómaczą żołnierzom, który przedmiot na tablicy odpowiada przedmiotom, istniejącym w rzeczywistości, i natychmiast odbywają się próby celowania do odpowiednich odległości.

Równocześnie oddziały saperów z tyłu budują drogi komunikacyjne, mosty, zakładają telefony, a na szczytach urządza się stacye sygnałowe. celem porozumienia się ze strażami przedniemi i z tyłami. Sygnalizacya odbywa się przy pomocy heliografu, ognia, dymu, latarni i flag. Sygnalizacyę powierza się zazwyczaj Chińczykom, którzy otrzymują za to pensye miesięczne i, jak twierdzą, spełniają swe zadania znakomicie.

Na drodze spodziewanego natarcia przeciwnika, Japończycy urządzają bardzo zręcznie zasadzki. Trzymają się przytem ustalonej metody. Każda zasadzka składa się z bramy i pułapki. Bramę stanowi kilku lub kilkunastu strzelców. Zazwyczaj są oni doskonale ukryci i przepuszczają nieprzyjaciela, nie dając o sobie znaku życia. Podjazd nieprzyjacielski przechodzi swobodnie przez „bramę" i podchodzi do głównych sił zasadzki. Japończycy spotykają go salwami i rozwijają silny ogień, a kiedy podjazd nieprzyjacielski, spłoszony i oszołomiony niespodzianką, cofa się szybko, wówczas „brama" nań uderza.

Odwrót.

Zdaje się, że nie umieją cofać się w porządku; to też z chwilą. gdy Rosyanie odnieśliby nad nieprzyjacielem kilka większych zwycięstw, położenie armii japońskiej byłoby bardzo trudnem W kilku wypadkach zauważono, że gdy Japończycy zmuszeni są do cofania się, wystarcza zarysować tylko zlekka oskrzydlenie lub stworzyć jego pozory, aby zamienić odwrót japoński w ucieczkę.

Japończycy znają dobrze teren wojny, umieją też go dobrze wyzyskać i doskonale zastosować się do miejscowości. W bitwach — jak zapewniają rosyjscy korespondenci wojenni — nigdy nie widać ich rezerwy, ani nawet przerzucania się ich łańcuchów. Rzekłbyś, że wrastają w ziemię, a bywały wypadki, że wojska japońskie pełzały po ziemi całemi dziesiątkami wiorst, aby nie zdradzać swej obecności.

Na flanki we wszystkich bitwach Japończycy zwracają szczególniejszą uwagę. Bardzo to naturalne, działają bowiem w miejscowości górzystej i wiedzą, że w tych warunkach działać na przebój niepodobna, należy więc uciekać się do oskrzydlenia i podstępnych manewrów, a więc też i przeciwko oskrzydleniu najwięcej się zabezpieczają. W tym celu mają zawsze znaczne rezerwy na flankach, nietylko dlatego, aby odeprzeć obejście, lecz ogarnąć jeszcze obchodzącego nieprzyjaciela i w ten sposób manewr jego sparaliżować.

Dowódzcy japońscy oszczędzają rezerwę i niechętnie wprowadzają ją do boju. Łańcuchy zaś wzmacniają, sprzęgają i nacierają zwartemi kolumnami. Rezerwy zazwyczaj strzelają salwami i często z bardzo znacznej odległości; taktyka ta najwidoczniej ma na względzie podwójny cel: podtrzymać ducha w przednich oddziałach i stworzyć pozory, jakoby atak prowadziły znaczniejsze siły, niż w rzeczywistości.

Walki na bagnety Japończycy stanowczo unikają, znając przewagę w tym kierunku Rosyan. Najczęściej więc postępują w ten sposób, że dopuszczają atakującego na bagnety przeciwnika jak najbliżej, potem nagle przednie linie odbiegają w tył i padają na ziemię, a ukryty na ziemi ogień karabinowy spotyka atakującego przeciwnika. Z pomyślnym skutkiem Japończycy zastosowali tę taktykę celem odparcia rosyjskiego ataku na bagnety ze strony 11 wschodnio-syberyjskiego pułku strzeleckiego w bitwie pod Tiurenczenem.

W końcu dodaje korespondent *N. Wremienia*, że obok wielu stron dodatnich, taktyka japońska posiada też jedną wadę, a tą jest jej szablonowość. Okazało się to już w obecnej wojnie. Tak np. jenerał Miszczenko zaatakowany przez pierwszą armię jenerała Kuroki, znalazł się skutkiem wylądowania nowych posiłków japońskich, po bitwie pod Czonczu, w bardzo trudnem położeniu, gdyż groziło mu odcięcie od rzeki Jalu i zguba całego jego oddziału. Wówczas powziął napozór niedorzeczną decyzyę: szybko wyruszył i uderzył ze swą kawaleryą na twierdzę Kisen, posiadającą znaczną załogę piechoty i artyleryi. Japończycy oszołomieni tym manewrem, wykraczającym z pozoru przeciwko elementarnym zasadom taktycznym, pozwolili mu obejść swe tyły i flank i przedrzeć się do północnej Mandżuryi.

Wojna rosyjsko-japońska.

(Ze źródeł rosyjskich).

Paryż 11 sierpnia. Do *Temps* donoszą z Laojanu, że kierownictwo armii rosyjskiej, które mimo powolnego marszu Japończyków i mimo nacisku opinii publicznej w Rosyi nie dało się skłonić do awanturniczej ofensywy na południe, powróciło do dawnego słusznego planu skoncentrowania sił rosyjskich koło Laojanu. Dosyłka wojsk tak rosyjskich jak japońskich nie ustaje. Rosyanie, opuszczając Haiczen, spalili baraki.

Petersburg 11 sierpnia. (Oficyalnie). Jenerał Kuropatkin telegrafuje do cara: Dnia 8 i 9 b. m. zauważono forpoczty nieprzyjacielskie o 12 do 15 kilometrów na północ od Haiczen. Pomiędzy forpocztami obu stron zdarzają się ciągłe starcia. Porucznik kozaków Jeftin przedsięwziął dnia 6 sierpnia bardzo forsowny marsz rekognoscyjny na czele oddziału swojego ku Niuczwanowi. Podczas tego został on raniony w głowę, mimo to nie opuścił dowództwa. Mieliśmy dwóch kozaków zabitych, a dwóch rannych. Ze wschodniego terenu, oraz w kierunku Laojan-Saimatsu nie ma wiadomości o żadnych zmianach. Dnia 6 sierpnia oddział kozacki powyżej Tiauszau, w odległości 8 kilometrów napotkał oddział nieprzyjacielski, który przed rozpoczęciem ognia zajął ufortyfikowane pozycye bardzo silne. Ta okoliczność, jak również silna mgła sprawiły, że zauważono nieprzyjaciela dopiero w odległości600 do 1000 metrów. O godzinie 7 mgła się rozproszyła i wtedy od głównej naszej siły nadszedł mały oddział, który był wysłany celem obejścia lewego skrzydła nieprzyjacielskiego. Niebawem jednak na naszem lewem skrzydle pojawiło się 7 kompanij nieprzyjacielskich, które, maszerując w wysokiej trawie, zdołały się zbliżyć niepostrzeżenie. Pod ogniem dział naszych jednakże, które tymczasem zajęły odpowiednie stanowiska, nieprzyjaciel musiał się cofnąć; walka skończyła się o godz. 9 rano. Oddział nasz zaczął się cofać nieścigany przez nieprzyjaciela; mieliśmy 2 zabitych, a 12 rannych. Nieprzyjaciel miał oddziały piechoty liniowej i rezerwy, co się okazało ze zbadania kul karabinowych, użytych przez niego.

* * *

Londyn 11 sierpnia. Do *Daily Exprcss* donoszą z Petersburga: Rozpaczliwe położenie Kuropatkina budzi tu najwyższe obawy. W kołach rządowych przekonano się teraz, że obecne pozycye Japończyków są pod względem strategicznym nadzwyczaj korzystne i że ofensywa armii rosyjskiej musiałaby skończyć się nieszczęśliwie. Dlatego pracuje sztab jeneralny nad nowym planem kampanii, który już jest na ukończeniu i będzie Kuropatkinowi telegraficznie zakomunikowany. W planie tym Kuropatkin otrzyma polecenie utrzymać się przy swej obecnej pozycyi, jak długo się tylko da, a potem cofnąć się do Charbina, zaś Port Artur zostawić swemu losowi.

* * *

Dzienniki berlińskie otrzymały z Petersburga wiadomość, że wydano rozkaz, aby jen. Leniewicz na czele swego korpusu wyruszył z Władywostoku i jak najśpieszniej połączył się z Kuropatkinem. Załogę zaś Władywostoka mają tworzyć tymczasowo aż do nadejścia świeżych wojsk z Europy oddziały ochotników, oraz oddział utworzony ze zbrodniarzy, trzymanych na Sachalinie.

* * *

Ze względu na to, że Rosya zamierza skoncentrować drugą wielką armię operacyjną koło Charbina, sprawność kolei syberyjskiej znowu staje się kwestyą bardzo aktualną. Dziennik angielski *Morning Post.* pisze o tem, jak następuje: Kolej ta — powiada on — jest, jak wiadomo, zbudowana dość lekko, nasypy są wąskie, szyny niezbyt grube, szutrowanie słabe. Zdawało się zrazu, że kolej taka zupełnie nie nadaje się do szybkiego transportu armii półmilionowej wraz z działami i żywnością. Ale widzimy obecnie, że mimo sześciomiesięcznej wytężonej pracy linia ta funkcyonuje lepiej jeszcze, niż z początku, rzec można lepiej, niż sama armia. Wykaże to prosty rachunek.

W czasie wybuchu wojny było w Mandżuryi razem z załogami twierdz około 60.000 żołnierzy. Zaś obecnie z chwilą, gdy 17 korpus przybyły już do Mandżuryi połączy się z główną armią, Kuropatkin mieć będzie pod swoimi rozkazami 160 000 żołnierzy. Prócz tego jenerał Stössel ma w Porcie Artura 30.000, a jen. Liniewicz w Władywostoku podobno 35.000, tak, iż ogólna siła wojsk rosyjskich, po odliczeniu strat bojowych, wynosi około 225.000. A zatem dowieziono w ciągu 170 dni okrągło 165.000 żołnierzy — czyli przeciętnie po 1000 żołnierzy dziennie. Do tego doliczyć należy 30.000 koni, 300 armat, oraz amunicyę i żywność. Zauważyć przytem należy, że w pierwszych trzech miesiącach wojny liczba transportowanych wojsk była bardzo mała, raz że mobilizacya szła powoli, a powtóre, że zapasy dla Portu Artura były wówczas ważniejsze, niż żołnierze. Dopiero od początku maja nadchodziły liczne posiłki, tak, że można liczyć trzy tygodnie na przeniesienie jednego korpusu armii. Najsłabszą częścią całej kolei jest linia od Bajkału do Charbina, nierówność terenu i skręty są tu znacznie większe, a urządzenia są mniej praktyczne. Ale mimo gorączkowej pracy ciągle na tej kolei odbywają się roboty nad usunięciem rozmaitych niedogodności. Jestem przekonany o tem, że możnaby co miesiąc przewieźć do Charbinu 60.000 żołnierzy wraz z armatami i końmi. W rzeczywistości przybywa zaledwie $^{2}/_{3}$ tej cyfry, ale tylko dlatego, że wojska nie są gotowe do odjazdu. Widać z tego, że rząd petersburski ciągle jeszcze nie poznał całej trudności swego zadania. Jeżeli ministrowie chcą w ten sposób skąpić, to lepiej by zrobili, gdyby zaraz zawarli pokój — pod jakimikolwiek warunkami.

* * *

Opisując bitwę pod Kiaotunem, stoczoną w nocy przez oddział hr. Kellera, korespondent *Praw. wiestnika* przytacza pomiędzy innemi epizod następujący:

„Dowódca batalionu 24 pułku, szanowny starzec, Gryszkiewicz-Trochimowski z młodzieńczym zapałem biegł przez las na czele kolumny, ścigając wroga. Wtem przyskoczył do niego Japończyk. Podpułkownik uderzył go szablą w głowę, lecz z nóg nie zwalił, gdyż przeciwnik zręcznie się zasłaniał karabinem. Gryszkiewicz zadał mu jeszcze kilka ciosów, które albo były za słabe, albo też odbite przez Japończyka. Położenie podpułkownika stawało się krytycznem. Dostrzegł to Władysław Bobrzyk, żołnierz 8-mej kompanii 10-go pułku

strzelców, podbiegł i uderzeniem bagnetu obalił wroga.

— Jakże to pan pułkownik nie mógł odrazu go powalić? — spytał żartem żołnierz dobrego naczelnika. — Chyba szabla nie wyostrzona?

— Nie! Szablę mam dobrą — odparł Gryszkiewicz — lecz ci Japończycy są jakoś dziwnie twardzi ludzie. Ani ich przerąbać, ani przekłuć.

Jakoż sprawdzono, że i bagnet Bobrzyka wszedł w ciało zaledwie na pół palca.

Nowoje Wremia widzi w tem potwierdzenie pogłosek o posiadaniu przez Japończyków pancerzy i wzywa do przekonania się o tem i przysłania ich wzorów.

* * *

Korespondent *Wostocen. obozr.* przytacza charakterystyczną rozmowę z Chińczykiem. Furażer rosyjski zakupuje u niego słomę. Chińczyk sprzedaje połowę zapasu, drugiej jednak połowy odmawia.

— Dlaczegoż nie sprzedasz wszystkiego? Zapłacę przecież — mówi furażer.

— Japończyk przyjdzie i on będzie potrzebował słomy — odpowiada naiwnie Chińczyk. I on także chce słomy.

Chińczyk mówił to całkiem spokojnie, bez żadnego zamiaru wyrządzenia nieprzyjemności Rosyaninowi.

KRONIKA.

Lwów 11 sierpnia.

U metropolity x. Szeptyckiego pojawiła się przed kilku dniami deputacya ruskich xięży z Ameryki północnej, którzy się domagają własnego episkopatu. Metropolita przyjął deputacyę bardzo serdecznie i przyrzekł poczynić starania w Watykanie, aby życzeniom Rusinów w Ameryce stało się zadość.

Zwiedzanie rejonów fortecznych. W Krakowie bawi od dwóch dni 30-tu wychowanków szkoły honwedów z Pesztu, którzy pod przewodnictwem pułkownika Gintzla zwiedzają rejony forteczne miasta Krakowa.

Konkurs na posadę notaryusza w Sieniawie rozpisuje Izba notaryalna w Przemyślu. Podania do 30 września. — Dyrekcya szkoły przemysłowej w Krakowie rozpisuje konkurs na pięć posad asystentów: 1) konstrukcyi budowniczych, 2) projektowania budowniczego, 3) budowy maszyn, 4) chemii ogólnej i analitycznej, 5) technologii chemicznej. Do każdej z tych posad przywiązana jest remuneracya w kwocie 1.200 K. rocznie. Podania do 24 sierpnia.

Dwaj Polacy: p. Kania i p. Lewenhard otrzymali na fakultecie medycznym w Paryżu stopień doktorski, po przedstawieniu i obronie rozpraw, o których tamtejszy świat uczony wyraża się z wielkiem uznaniem.

Statua św. Kingi w Pieninach. Niedaleko Krościenka nad Dunajcem, wśród malowniczych gór Pienin, znajdują się ruiny, a właściwie już tylko szczątki ruin zamczyska, w którym żona Bolesława Wstydliwego, a po jego zgonie ksieni klasztoru w Starym Sączu, św. Kinga, ukrywała się z siostrami: Konstancyą i Jolantą przed Tatarami. Zamczysko to, mimo niedostępnego wśród skał i lasów położenia, wytropili w wieku XV husyci, dotarli do niego i zburzyli je. Owóż w pobliżu tych ruin, dla uczczenia pamięci św. Kingi wykuto teraz w skale dość obszerną grotę i ustawiono w niej piękną jej statuę dłuta rzeźbiarza Władysława Druciaka. Poświęcenie tej statuy odbyło się bardzo uroczyście, a przytem nie pozbawione było pewnej oryginalności i poezyi, albowiem uczestnicy, których było mnóstwo — zwłaszcza kobiet, — z Krościenka, ze Szczawnicy i wszystkich okolicznych wiosek, odbyli do groty — po nabożeństwie w parafialnym kościele w Krościenku — rodzaj pielgrzymki po lesistym zboczu doliny Pienińskiej, trwający blisko półtorej godziny.

Pensya Kuropatkina. Jako minister wojny pobierał Kuropatkin 36.000 rubli pensyi rocznie, gdy awansował na naczelnego wodza, otrzymał 200.000 rubli pensyi rocznie, nadto car mianując go naczelnym wodzem darował mu 500.000 rubli, a to dlatego, że Kuropatkin jest zupełnie ubogim człowiekiem, więc w razie śmierci nie zostawiłby żadnego zaopatrzenia rodzinie.

Śmierć wskutek własnej nieostrożności. Wawrzyniec Leputa, leśniczy w dobrach hr. Potulickiego w Żmigrodzie, towarzyszył w zeszłą niedzielę konno dwom panom do lasu. Kiedy przejeżdżał koło krzaku, w którym zostawił swoją dubeltówkę, pochylił się na koniu i sięgnął po nią. W tej chwili koń szarpnął się, a leśniczy w pośpiechu chwycił za lufę, kurki zaś, zawadziwszy o krzaki, spadły, a nabój przeszył mu wylot piersi leśniczego, który też na miejscu wyzionął ducha. Nieszczęśliwy człowiek osierocił żonę i troje małych dzieci.

Z tajemnic dworu saskiego. Przed paru tygodniami przybył do Schmeksu wraz z dziećmi swemi i ze świtą następca tronu saskiego książę Fryderyk i zamieszkał w jednym z tamecznych hoteli. Ponieważ rozeszła się wieść, że ma tam także przybyć małżonka jego, z którą jest rozwiedziony, a z którą radby się znowu połączyć, przeto zainteresował wszystkie lubiące się zajmować romansowemi sprawami wysoko położone osoby. Zwłaszcza zaś wielu dziennikarzy uważało za swój obowiązek dowiedzieć się o jakichś nowych szczegółach, aby przypomnieć czytelnikom sprawę, o której już zapomnieli. Jeden z nich, Francuz, korespondent kilku pism paryskich, zdołał podobno pozyskać zaufanie jednej ze znaczniejszych osób z otoczenia księcia, która go oprowadziła po apartamentach zajmowanych przez niego i opowiedziała mu wiele szczegółów z życia księcia i jego stosunku do żony, z którą go, podobno wbrew jego woli, rozwiedziono.

Owóż, według owego korespondenta, ślad sympatyi dla księżnej Ludwiki spotkać tam było można na każdym kroku. W pokojach wisiały fotografie. Nad łóżkami dzieci książęcych również znajdowały się podobizny księżnej, a pod każdą napis „droga mamusia", „ukochana mama" — i tym podobne.

Podobno książę Fryderyk zdołał nakłonić ojca swego, króla saskiego, do zezwolenia na pogodzenie się rozwiedzionych małżonków. Król wprawdzie nie wypowiedział tego wyraźnie i jasno, lecz milczeniem dał do zrozumienia, iż ulega prośbom swego syna. Na tej zasadzie, za pośrednictwem osób zaufanych książę zawiadomił dawną swą małżonkę, obecnie hrabinę Montignoso o swym zamiarze wyjazdu do Schmeksu. Hrabina miała wynająć mieszkanie w sąsiedniej miejscowości, a spotkanie ich miało nastąpić w górach, podczas przechadzki, niby zupełnie przypadkowo.

Książę z niecierpliwością oczekiwał na tę chwilę, gdyż nietylko on sam wielce przywiązany jest do swojej byłej żony, ale ma też wzgląd na swe dzieci, które od czasu rozstania się z matką, nie mogą się pocieszyć i wciąż o niej wspominają. Zwłaszcza siedmioletni książę Ernest Henryk całemi godzinami siedzi przed fotografią księżnej Ludwiki i zalewa się łzami.

Wszystko już było ułożone i, zdawało się, przybierze obrót pomyślny, gdy nagle nadeszła od króla saskiego depesza z zawiadomieniem, że o pogodzeniu się z żoną nawet mowy być nie może. Widocznie wrogowie księżnej Ludwiki znów wzięli górę i zawładnęli umysłem króla.

Książę Fryderyk nie miał dłużej poco pozostawać w Schmeksie, chciał wyjeżdżać zaraz, ale dla zachowania „decorum" pozostał jeszcze dwa tygodnie. Zamknął się w hotelu i prawie na krok z mieszkania nie wychodził.

Podobno księżna — a raczej hrabina Montignoso — starała się spotkać księcia, chodziła po górach umówionemi drożynami, aż wreszcie policya węgierska zabroniła tych spacerów byłej arcyksiężniczce austryackiej, byłej następczyni tronu saskiego.

Tak przynajmniej zapewnia wspomniany powyżej korespondent francuski, który kończy swój opis zapewnieniem, że zarówno książę Fryderyk, jak i jego dzieci kończą codzienną modlitwę prośbą do Boga, aby im wrócił ukochaną mamusię.

Nagrodzony Polak. P. Bolesław Buyko otrzymał na wystawie sztuk pięknych w Wersalu medal za swoje „Widoki Starego Paryża". Jest to młody artysta rodem z Wilna, od kilku lat przebywający w Paryżu, rozmiłowany w starych, kościołach i domach i przecudnie pięknie je malujący.

Znaczną kradzież popełniono dziś o północy w domu przy ulicy Hoffmana opata l. 26. Mianowicie złodzieje po otwarciu bramy i drzwi witrychem dostali się do mieszkania pani Bronisławy Schaffer i ukradli stamtąd znaczniejszą ilość garderoby, biżuterye i srebro wartości kilkuset K. — zapakowali do tłómoka i do kosza — i wyszli najspokojniej z kamienicy. Dopiero na ul. Łyczakowskiej spostrzegł ich policyant. Rzeczy policya odebrała, zdołała jednakże z dwóch złodziei przytrzymać tylko jednego.

Z prasy. *Dobrobyt*, organ Związku galicyjskich Kas oszczędności, przestał wychodzić, a natomiast pod redakcyą dr. Zygmunta Gargasa zaczął wychodzić dwutygodnik *Oszczędność*.

Zmarli. W Wysocku, Roman Kotzian, wieloletni rachmistrz dóbr hr. Zamojskich, przeżywszy lat 60. — Paulinka Marchwicka, córka młodego Marchwickiego, syna byłego dyrektora banku i Marty z Łabęckich, umarła w drugim roku życia w Warszawie. Notujemy tę wiadomość, ponieważ rodzina Marchwickich była bardzo znana dawniej we Lwowie.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 16. w poł. + 22. Bar. 767. Idzie w górę. Upał. Pogoda.

Kawał drogi.

— Gdzie pan się urodził?

— W Rzeszowie, ale do szkół chodziłem we Lwowie.

— Co? Codziennie taki kawał drogi?

W sądzie.

— Przy tem włamaniu było was dwóch. Jak się tamten łajdak nazywał?

— Nie wiem, panie sędzio. W pośpiechu zapomniał mi się przedstawić.

Widowiska i koncerty.

Teatr ludowy. (Ogród dawnego Colosseum, pasaż Hermanów). Dziś: „Prima Ballerina," krotochwila w 3 a. Bluma. Drugi występ p. Z. Czaplińskiej. — W piątek „Rodzina Furyozów," farsa w 4 a. Fr. Russa. Trzeci występ p. Z. Czaplińskiej. — W sobotę popołudniu „Ciotka Karola," komedya w 3 a. B. Thomasa. Wieczorem „Żabusia," sztuka w 3 a. Gabryeli Zapolskiej. Czwarty występ p. Z Czaplińskiej. — W niedzielę popołudniu „Jarmark małżeński," komedya w 3 a. Okońskiego. — Wieczorem „Prima Ballerina," krotochwila. Piąty występ p. Z. Czaplińskiej.

Literatura i sztuka.

* **Sztuka polska.** Wydawnictwo to, mające na celu dać ogółowi choć w przybliżeniu wyobrażenie o twórczości najwybitniejszych polskich malarzy, wychodzące we Lwowie nakładem księgarni p. Altenberga, a pod znakomitem kierownictwem p. Feliksa Jasieńskiego i Adama Łady Cybulskiego, spełnia dotychczas jak najlepiej swoje zadanie i zyskuje coraz większe uznanie tak w kraju, jak i za jego granicami.

W zeszycie VIII-ym zaprodukowano nam przedewszystkiem „Spotkanie" Władysława Podkowińskiego, artysty o olbrzymim talencie, pełnego zapału do pracy i rokującego ogromne nadzieje, a w tak młodym wieku zmarłego, z ogromną stratą dla naszej sztuki. Podkowiński był malarzem impresyonistycznym i on to właśnie wraz z Józefem Pankiewiczem przeniósł z Paryża na nasz grunt ten nowy kierunek w malarstwie, którego technika polegała na tem, że nie mieszano barw na palecie, lecz kładziono je na obrazie tak obok siebie, aby zmieszane na siatkówce widza, czyniły wrażenie tej barwy, o którą artyście chodziło. Rzecz prosta, że widz musiał się znajdować w znacznej bardzo odległości od obrazów, które z bliska widziane, przedstawiały się karykaturalnie i oddawały rzeczy w barwach, jakich w świecie rzeczywistym nie posiadają. Na zarzuty, że na utwory impresyonistów jedynie zdaleka patrzeć można, przypominali oni, że jeszcze Rembrandt powiedział „iż obrazy nie są do wąchania" (czyli, że nie muszą być tak malowane, aby tylko z bardzo bliska patrzeć na nie było można). „Spotkanie" zatem jest także utworem impresyonistycznym. Na łące, w piękny wieczór letni spotykają się dwie grupy osób, może z dwóch sąsiadujących dworów: z jednej strony trzy młode panienki, z drugiej młoda kobieta, mężczyzna i dziewczynka — a przepyszny koloryt krajobrazu, oraz różnobarwnych tualet kobiet świadczy o sumiennem studyowaniu i odtworzeniu przez autora zjawisk świetlnych, co właśnie stanowiło istotę nowego kierunku.

Studyum portretowe dziewczynki Józefa Pankiewicza, daje nam przedewszystkiem poznać autora jako pierwszorzędny talent kolorystyczny, lubujący się w efektach tonów, barwy i światła. Efekty te, przedziwnej finezyi, są niejednokrotnie właściwym tematem i główną treścią jego obrazów. Zawiódłby się jednak bardzo ten, ktoby szukał kolorystyki jaskrawej, albowiem malarskość tego artysty obraca się — jeżeli tak można się wyrazić — w pianach. Wszystkie utwory jego, rozmaite brzaski, zorze, zmierzchy itd., są i w pomyśle i w wykonaniu nader subtelne i subtelnie odczute być muszą. Inaczej nie mogą się podobać.

W „Orce ukraińskiej" Wyczółkowskiego widzimy pole dworskie, na którem pod okiem ekonoma cały szereg pługów kraje ziemię. Tylko dwie pary wołów w jarzmach, znajdujące się na pierwszym planie i jeden parobek są widoczne, reszta maleje i ginie wreszcie w dali dla naszego oka I tutaj także, jak we wszystkich tych obrazach Wyczółkowskiego, które utrwaliły jego sławę malarską, nie idzie o kompozycyę, lecz o światło. Możnaby prawie powiedzieć, że indywidualność tego artysty zasadza się na posiadaniu siatkówki przedziwnie wyczulonej i wrażliwej. Kreśląc sylwetkę tego malarza, doskonale charakteryzuje go w kilku zdaniach E. Niewiadomski. Pisze on: „Jedyną racyą bytu wszystkich parobków Wyczółkowskiego, jego dziewuch, rybaków, wołów, wód, pól—jednem słowem całej żywej i martwej natury—jest *światło*. Ono to złoci martwą bryłę promieniem wschodzącego słońca, obłękitnia ją chłodnym refleksem nieba, rozzielenia i rozpłomienia gorącem odbitem od ziemi. W krzyżowym ogniu świateł i refleksów drga i żyje przyroda — śpiewa potężny, żywiołowy hymn słońca. Cała ta barwność nie płynie z gorączkowo podnieconej fantazyi, albo z przypadkowych zestawień farb na palecie, ale opiera się na obserwacyi zjawisk świetlnych w naturze, obserwacyi tak ścisłej i subtelnej, że w malowanem powietrzu czuć świeżość chłodnego jesiennego poranku, albo parny znój letniego południa".

Zeszyt ten kończy „Studyum portretowe" Stanisława Wyspiańskiego. Znakomity ten malarz powiedział podobno kiedyś, iż wszystko co jest na ziemi, musi mieć swoją duszę. Więc jeżeli ją szuka w martwych tworach przyrody, to tembardziej ją widzi i odczuwa w ludziach. Dlatego to każdy jego portret jest żywym człowiekiem. To też tę dziewczynkę z fiołkiem w ręku widzi się tak żywą, że robi wrażenie wprost znajomej twarzy.

O następnym zeszycie pomówimy osobno.

* **Architekta**, miesięcznika poświęconego architekturze, budownictwu i przemysłowi artystycznemu, pojawił się zeszyt 7, poświęcony w całości dworcowi lwowskiemu. Przedstawia on ten gmach tak zewnątrz, jak wewnątrz a nadto podaje dla porównania plan pierwotny i faktyczne wykonanie dzisiejsze. Oprócz opisu nowego dworca we Lwowie, znajdują się w tym zeszycie ustępy z dwóch rozpraw: Godfrieda Lempara „Cztery pierwiastki sztuki budowniczej" i Teodora Wijkandera „Wpływ czasu na wytrzymałość drzewa".

Część ekonomiczna.

Wiedeń 9 sierpnia.

(Z.) Węgierski minister rolnictwa Tallian przybył dziś o 10 ej rano do Wiednia, a odbywszy kilkogodzinną konferencyę z prezesem gabinetu drem Koerberem i z austryackim ministrem rolnictwa udał się o godzinie 3-ej po południu z powrotem do Pesztu. Podróż ta stoi bez wątpienia w związku z akcyą ratunkową, jaką oba rządy zamierzają wdrożyć z powodu braku paszy. Ogłoszenia zakazu wywozu paszy oczekują lada godziny, a obejmować ma on nietylko siano, słomę i otręby, ale także kartofle i rośliny strączkowe. Oprócz Rumunii wydała właśnie także i Serbia zakaz wywozu kukurudzy poza obręb swych granic. Oprócz kukurudzy nie wolno także wywozić i siana z Serbii.

Zakład kredytowy dla handlu i przemysłu ogłosił dziś oczekiwany z takiem zajęciem przez sfery giełdowe bilans swój za pierwsze półrocze br. Sprawił on przyjemną niespodziankę z tego powodu, że wykazuje powiększenie się czystego dochodu w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego, a tymczasem liczono na to, że wobec ogólnego zastoju w państwie i zyski bankowe muszą się zmniejszać. Suma czystego zysku, osiągniętego przez Zakład kredytowy w pierwszem półroczu br. wynosi 3.975.573 koron i jest o 28.545 koron większa od zysku za taki sam okres roku ubiegłego. Największem zadowoleniem przejmuje sfery giełdowe to, że, jak to podnosi dyrekcya Zakładu kredytowego w swem sprawozdaniu, rentowność niektórych przedsiębiorstw przemysłowych, w których instytucya ta ma zaangażowane swe kapitały, wzrasta bardzo znacznie. I tak np. fabryka fezów da akcyonaryuszom swym 9% dywidendy, a Zakład kredytowy ma 2118 akcyj tej fabryki, przypuszczalną zaś dywidendę rafineryi nafty w Fiume obliczają na 30 koron, podczas gdy w ubiegłym roku wynosiła ona tylko 12 koron. Akcyj zaś tego przedsiębiorstwa posiada Zakład kredytowy aż 6066 sztuk. Doskonale prosperują także kopalnie nafty w Rogach w Galicyi zachodniej, w których Zakład kredytowy ma przeważny udział.

Na giełdzie berlińskiej haussa walorów górniczych przybrała dziś kolosalne rozmiary. Tak szalonych zwyżek kursowych, jakie dziś miały miejsce w akcyach kopalń węgla, dawno już nie było. Oto np. akcye Gelsenkirchen podskoczyły o 8%, Consolidation o 10%, Harpeńskie o 7%, Laurahütte o 5% itd. Utworzyło się bowiem kilka grup bankowych, które starają się nabyć jak największą ilość akcyj węglowych, aby stawić czoło ewentualnym dalszym zamiarom rządu upaństwowienia kopalń węgla. Z drugiej zaś strony kupują te akcye także i takie banki, które utrzymują bardzo ściśle stosunki z rządem. Największe zakupy przedsiębiorą dziś grupy: berlińskiego Towarzystwa handlowego, banku drezdeńskiego i firmy Bleichrödera. Publiczność niemiecka zaczyna także już brać udział w tej spekulacyi w walorach węglowych, co jeszcze bardziej przyśpiesza tempo ogólnej haussy.

§ **Cennik ziemiopłodów w Krakowie** z dnia c sierpnia 1904 r. w Hali zbożowej. Tendencya 9o do pszenicy zwyżkowa.

Pszenica biała 10.50—10.75, czerwona i żółta 10.60 do 10.80, węg. 10.20—10.40, żyto krajowe 8.20—8.35, żyto nowe 8.25—8.50, targ. 8.00—8.20, Jęczmień na krupy 6.90—7.40, na paszę 0.00 do 0.00, owies 7.15—7.40, tatarka 8 50—9.25, kukurudza nowa 0·00—0.00, stara 8.00—8.60, cinquantin nowa 0.00 do 0.00, cinquantin stara 8 00 do 8.60, Groch Wiktorya 11.50—13.00, zwykły 10.00—11.00, past. 9 00—10.0. Fasola cukr 12.50 do 13.00, długa 10.50—11.00. Fasola krótka 9.50—10.25, perłowa 11.00—11.50. Bobik 0·00—0.00. Wyka 6.50—7.25, Siemię konopne 10.00—10.50. Mak niebieski 26.0 do 28.—, szary 24.00—26.—, Koniczyna nasienna czerw. 00.— do 00. , Otręby pszenne 5.75—6.00, otręby żytne 5.90—6.00. Mąka czerwona 6.60—6.70. Ofagi 4.80 do 5·10. Słoma żytnia długa 2.40 do 2.90. Siano zwyczajne stare 3.80—4.30. Koniczyna pastewna 4.60 do 5.00. Siano nowe 0.00—0.00. Soczewica 14.00—17.00. Proso zwykłe 6 00—6 50. Rzepak zimowy nowy 10·00—10·25 Ceny notowane za 50 kigr.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU"

(Depesze poranne).

Paryż 11 sierpnia. Były prezydent ministrów Waldeck-Rousseau umarł wczoraj podczas operacyi. Wykonali ją niemiecki profesor Kher i angielski profesor Armour, w asystencyi drów Douche i Babińskiego.

Paryż 11 sierpnia. Prezes gabinetu Combes, który miał dziś wyjechać, pozostaje w Paryżu z powodu śmierci Waldecka-Rousseau. Dziś odbędzie się rada ministeryalna w celu zastanowienia się nad urządzeniem pogrzebu. Jeżeli żona zmarłego zgodzi się na urządzenie pogrzebu narodowego, odbędzie się on we wtorek. W przeciwnym razie odbędzie się pogrzeb już w sobotę.

Tuluza 11 sierpnia. Ubiegłej nocy przyszło kilkakrotnie do starcia między wojskiem a manifestantami, którzy przyłączyli się do strejkujących kelnerów kawiarnianych. Dziewięciu żandarmów i 5 policyantów było rannych. 20 osób zatrzymano w aresztach

Belgrad 11 sierpnia. Koronacya króla Piotra odbędzie się dnia 21 września w Belgradzie, a namaszczenie w Ziczy. Skupczyna weźmie *in corpore* udział w uroczystościach koronacyjnych. Skupczyna nie będzie jednak powołaną do uchwalenia potrzebnych na koronacyę kredytów. Z powodu nieurodzaju i z powodu tego, że państwo pobratymcze, tj. Rosya, zawikłane jest w wojnę, nie odbędą się nadzwyczajne uroczystości.

Zakopane 11 sierpnia. Dziś odbył się tu przy licznym udziale wiec Towarzystwa Tatrzańskiego pod przewodnictwem Antoniego hr. Wodzickiego. Po długiej dyskusyi wiec oświadczył się prawie jednogłośnie za budową drewnianego schroniska przy Morskiem Oku. Za budową murowanego schroniska oświadczyły się 4 głosy. Dalej oświadczył się wiec jednomyślnie za utrzymaniem komisyi klimatycznej, wreszcie uchwalono cały szereg rezolucyj.

Wiedeń 11 sierpnia. Ogłoszono urzędownie rozporządzenie ministeryalne, zakazujące wywozu artykułów pastewnych. Nadmienić należy, że także rząd węgierski ogłosi podobne rozporządzenie.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń 11 sierpnia. Ogłoszony w dzienniku praw państwa zakaz wywozu artykułów pastewnych dotyczy melassy, owsa, kukurudzy, wyki, łubinku, bobiku, kartofli, dalej paszy suszonej, tj. siana, koniczyny, słomy itp.

Zakaz ten, wydany w porozumieniu z rządem węgierskim, wchodzi w życie „z dniem, w którym poszczególne urzędy cłowe otrzymają o nim zawiadomienie. Zakaz nie odnosi się do przesyłek, które przed dniem 12 b. m. nadane zostały na kolej lub na okręty do wywozu za granicę".

Budapeszt 11 sierpnia. Dziennik urzędowy ogłasza zakaz wywozu paszy.

Waszyngton 11 sierpnia. (Biuro Reutera). Panuje tu przekonanie, że mocarstwa, które podpisały traktat paryski, używają swego wpływu u Porty, aby skłonić sułtana do uczynienia zadosyć żądaniom Stanów Zjednoczonych i nie dopuszczą do tego, by Stany Zjednoczone zmuszone były użyć przemocy.

Corbeil 11 sierpnia. Prezydent Loubet wysłał do wdowy po Waldecku-Rousseau telegram kondolencyjny, w którym zaznaczył, że rzeczpospolita traci w zmarłym swego najlepszego sługę, a Loubet swego najdawniejszego i najwierniejszego przyjaciela.

Marsylia 11 sierpnia. Z powodu nieporozumienia między pewnym oficerem a rezerwistami marynarki Towarzystwa „Messageries Maritimes", postanowili rezerwiści opuścić okręty Towarzystwa i rozpocząć strejk.

Londyn 11 sierpnia. Biuro Reutera donosi, że dalaj-lama uciekł z Lhassy, zostawiając swą pieczęć. Pułkownik Younghusband wszedł z eskortą do Lhassy, gdzie go przyjął amban chiński z wszystkiemi formalnościami. Younhugsband wezwał ambana, aby zamianował trzech lub czterech tybetańskich delegatów, którzy jednak nie mogą się zmieniać; z tymi delegatami prowadzone będą rokowania.

Wojna.

Londyn 11 sierpnia. Do Biura Reutera donoszą z Tokio pod datą dzisiejszą:

Rosyjska flota wypłynęła wczoraj (we środę) z Portu Artura. Odbyła się zacięta bitwa morska, której wynik nie jest znany. Pancerniki „Retwisan" i „Pobieda" widziano dziś rano po za obrębem Portu Artura.

Londyn 11 sierpnia. Do Biura Reutera donoszą z Czifu pod datą dzisiejszą, godz. 7 min. 30 rano: Rosyjski statek do niszczenia torpedowców, który przybył tu dzisiaj o godz. pół do 6 ej rano, przywiózł wiadomość, że 6 rosyjskich okrętów liniowych, 4 krążowniki i połowa torpedowców uszło z Portu Artura. Wspomniany statek do niszczenia torpedowców opuścił Port Artura wczoraj wieczór. Pięciu podróżnych znajdujących się na jego pokładzie stwierdza, że Rosyan ścigają Japończycy i oczekiwaną jest bitwa na pełnem morzu.

Petersburg 11 sierpnia. Do *Now. Wremie* nia donoszą z Władywostoku pod datą 10 b. m.: Sąd oświadczył, że konfiskata parowca „Thea", zatopionego w nocy na 26 lipca wraz z ładunkami, była słuszną i legalną. Parowiec ten bowiem od 29 marca wydzierżawiony był na 9 miesięcy przez japońskie Towarzystwo i kursował między japońskimi portami, używając wszelkich praw, przysługujących parowcom japońskim, stracił więc przez to charakter neutralności. Ładunek ryb na tym okręcie był także własnością nieprzyjaciela.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 11 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 24·50—24·60 (silnie). — Spirytus 49·00—49·60 nie zmieniony). — Nafta galicyjska bez zmiany.

Berlin 11 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·35. Spirytus 00·00.

Paryż 11 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 98·05. — Mąka („Fleur de Paris") 29·65.

Frankfurt 11 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 201·90. Koleje państwowe 000.00 exclusive kupon. Alpiny 135·90. Disconto 189·70. — Laura 255·50 (usposobienie silne).

Budapeszt 11 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 10·48—10·49, na kwiecień 10·70—10·71; żyto na październik 8·23—8·24, na kwiecień 8·47—8·49; owies na październik 7·20—7·21, na kwiecień 7·46—7·47; kukurudza na sierpień 7·25—7·30, na wrzesień 7·33—7·35, na maj 7·34—7·35. Rzepak na sierpień 11·20—11·30. — Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: słaba. Usposobienie: słabe. Pogoda: upał.

Wiedeń 11 lipca. Pszenica 11.40 — 11.65, owies 7.56—7.65.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 11 sierpnia.

Marki 117.25, renta majowa 99.25, węgierska renta koronowa 97 05, akcye: austr. zakł. kredyt. 641·75, węg. zakł. kred. 754 00, anglobanku 278.50, unionbanku 516.00, bankvereinu 516·50, länderbanku 426·00, kolei państw. 633.75, lombardy 85 50, akcye kolei Elbethal 420.00, fabryki broni 000·00, tytoniowe 000.00, alpiny 434.00, Rima Muranyi 496.50, prag. Tow. żel. 2280 00, losy tureckie 127·00, ruble 253·00. Usposobienie: spokojne.

Lwów 11 sierpnia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 573.— do 583.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 535·00 do 545.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 350 do 370·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 101 50 do 102·20, 4 proc. los w 60 lat 98.80 do 99·50 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.50 do 102.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·20 do 99.90 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.60 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·60 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99 80 do 100 00.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 99.70 — 100·40 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.80 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 102.80 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj. z roku 1878 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc z 1893 r. 99.80—100.00 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.00 do 97.70. 4½% po 200 koron 100.50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11.26—11.40. Napoleondor 19.00 do 19.2?. Sto rubli papierowych 252.00—254 00 Sto marek 117.10 do 117·60.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1904 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 6.00, 8.55, 5.40, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.20.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30,** 7.40, 5.8. 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.20, 5.06, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.25* (na dw. gł.) 8.04* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.10, 5.50, 9·10*.
Z Kołomyi i Stanisławowa: 8.10, 11.25.
Ze Stryja: 7.45, 10.02, 1.10, 4.85, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.46, 5.03
Z Jaworowa: 8.20, 4.45.
Z Sambora: 8·00, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25, 2.55**, 4.10*, 8.85, 6.20*, 10.55
Do Rzeszowa: 9.80.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.55**, 6.80, 9*—11.—*; z Podzamcza: **2.09**, 6.48, 9.21*, 11.34
Do Tarnopola: 10.35 z dw. głównego, 10.52 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.31*, 2.45**, 6.20. 10.45, 10.42*.
Do Stryja: 6.45, 9.10, 8.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 10.50, 7.05*, 11.10+ (każdej niedzieli).
Do Jaworowa: 6.50, 5.48.
Do Sambora: 9·25, 8·40.
Do Kołomyi i Zydaczowa: 5.55.
Do Przemyśla, Chyrowa. Zagórza: 10.05*.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: 6.19, 7.07, 11.20, 1.20, 2.50, 4.05, 4.40, 7 29*, 8 47* (każdej niedzieli).
Z Janowa: 8.20, 1.16, 4.45, 9.25*, 10.10* (od 15/5 w niedziele i święta)
Ze Szczerca: 9.35* (od 1/6 do 11/9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W: 11.35* (od 15/5 do 11/9 w niedz. i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: 5.48*, 9.30, 10.50, 12.32, 2.05, 3.35, 5.05; 7.05*, 8.04*, 11.10*.
Do Janowa: 6.50, 9.15, 1.35 (od 15/5 do 31 8 w niedzielę i święta), 3.18, 5.48.
Do Szczerca. 1.45 (od 1/6 do 11/9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 15/5 do 11/9 w niedz. i święta).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

7)

MĘŻOWIE WALENTYNY.

Powieść z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

— Bardzo to pojmuję; tem więcej, że Amerykanki są w modzie.

— O! nie jestem takim jak ty czcicielem mody i nie rozkazuję sercu stosować się do niej. To pewna, że żonka moja jest śliczna — choć ma pewne wady... Najpierw jest trochę łakoma i nadzwyczaj lubi wystawne życie.

— No, to nic strasznego.

— Następnie, zarówno jak wszystkie Amerykanki, przepada za podróżami; pragnęłaby, abym z nią świat cały objechał, nie zastanawiając się, że nie zgadza się to z moją profesorską pracą. Trzecią jej wadą jest zbyt częste odwiedzanie magazynów du Louvre i Bon Marché, co jest trochę za kosztowne.

— Zapewnee, jeśli mają pokrywać te wydatki twoje profesorskie dochody — ale mówią, że żona wniosła ci znaczny posag—odrzekł Feliks.

— Tak, i co stokroć więcej znaczy, swoją śliczną osóbkę.. Ale oto mały przedział między dwoma powozami, lećmy!

Wybiegli jednocześnie, ale rozmowa się przerwała, gdyż jeden zwrócił się na prawo, drugi na lewo.

VI.
Salon, w którym nie anonsują.

„Pani d'Ervan jest zawsze w domu we środę, od trzeciej w południe do siódmej wieczorem."

Zawiadomienie to pani d'Ervan rozsyłała corocznie przyjaciołom i znajomym, których liczne grono zbierało się zawsze u niej w oznaczonych godzinach w każdą środę. O siódmej wszyscy wracali do domów, gdzie ich oczekiwał obiad.

Otóż pani d'Ervan, wdowa po bankierze, miała zaszczyt być matką owej ślicznej lalki imieniem Feliks, z czego daleko była dumniejszą, niż gdyby była matką Grachów.

Feliks d'Ervan nie był bynajmniej pospolitym elegancikiem, był to salonowiec pierwszej klasy, niczem niezbliżający się do cyganeryi. Przedewszystkiem pozował na dystynkcyę i wykwintny dobry ton; z pozoru przedstawiał się jak modny elegant i zarazem jakby hrabiątko z dawnych czasów i mimowolnie spoglądało się na jego lakierowane buciki, szukając przy nich czerwonych obcasów. Nikt nie ubierał się lepiej od niego, nie umiał się zgrabniej kłaniać i podawać ręki kobiecie, prowadząc ją do obiadu, rano rozmawiać o sporcie, a wieczorem prowadzić kotyliona. Rozmowa jego była czczą i bezmyślną, ale dźwięk głosu był salonowy, gdyż nie ulega zaprzeczeniu, że osoby wyższego towarzystwa mówią innym głosem, niż ludzie niższych sfer. Zdawałoby się, iż odbijają się w głosie nawyknienia i wychowanie.

Pieszczonym, salonowym głosem, z niezachwianą pewnością panka i zupełnem zadowoleniem z siebie wolno wypuszczał z ust, niby drogocenne klejnoty, słowa bez żadnej wartości.

Feliks d'Ervan miał sobie za obowiązek naśladować wszelkie choćby drobiazgowe zwyczaje światowe, szczególniej najświeższe. Otóż rano w pewną środę rzekł do matki najsłodszym, najpieszczotliwszym głosem:

— Dziś jest nasz dzień przyjęcia, mateczko, otóż pragnę zaproponować ci pewną nowość.

— Jakąż to, mój synu?

— Zobaczysz, matko, jakie to będzie oryginalne. Najpierw powiem ci, że pan Leopold de Jonceray, o którym ci mówiłem i u którego byłem z wizytą z przyjacielem moim Albertem, oznajmiając, że pragniesz bardzo mieć go u siebie, będzie dziś w naszym salonie. Wiesz, iż lubię zgromadzać na naszych przyjęciach gości niepospolitych, efektownych; uważałem więc, iż wypada być do niego nader uprzedzającym, ponieważ jest młodzieńcem bardzo poszukiwanym w salonach, bogatym, dystyngowanym, pięknie przedstawiającym się w lasku w swojej wiktoryi, więc i ukazanie się jego w naszym salonie niezwykły wywrze efekt. Słowem będzie to nader cenny nabytek. Pragnąłbym jak najlepiej dom nasz mu przedstawić; otóż nastał nowy zwyczaj, bardzo już rozpowszechniony w salonach, aby nie anonsować wchodzących gości; zanadto żyjemy w świecie, aby nie naśladować tej najświeższej mody.

— Ależ to moda najniedorzeczniejsza pod słońcem! — odpowiedziała pani d'Ervan. — Nie anonsować! mogłoby to jeszcze ujść na wieczorach lub balach, gdzie w pewnych chwilach jest to prawie niemożebnem — ale na przyjęciach dziennych!...

— Jest to najnowszy zwyczaj — odpowiedział — i to bardzo dystyngowany i arystokratyczny, ponieważ pochodzi z przedmieścia St. Germain.

— Cóż to znaczy! — odpowiedziała pani d'Ervan, nie pozbawiona taktu ani zdrowego rozsądku, ale której główną wadą było, iż zbyt często ulegała radom i wymaganiom ukochanego syna.—Nie budujmy mostu dla tej niedorzeczności z przedmieścia St. Germain. Podobny zwyczaj można przyjąć, jeśli się żyje w bardzo ograniczonem kółku osób, które łatwo zachować w pamięci; w takim razie widzi się zawsze jedne postacie jakby w talii kart, w których są tylko cztery kolory: trefl, pik, karo, ker. Ale w salonie takim, jak nasz, w którym zgromadzają się tak licznie, w którym tylu prawie jest przechodniów, co przyjaciół, anonsowanie jest niezbędnem. Czyż mogę zapamiętać twarze osób zaledwie widzianych? pamiętać, że ta wdzięcząca się nieznanie osóbka, to pani B..., którą przedstawiono mi przed miesiącem, szukająca mojej znajomości, gdyż mogę jej być użyteczną; a ten znów nos orli, to wpływowa bardzo osobistość, którego parę razy spotkałam w świecie i starałam się mieć u siebie, gdyż jest mi potrzebny... Narazilibyśmy się na niezliczone pomyłki, szczególnej z twoim krótkim wzrokiem. A potem, gdy lokaj melduje głośno osoby znane w politycznych kołach lub w literaturze, podnosi to salon i pochlebia miłości własnej pani domu.

— To prawda — odpowiedział — ale cóż robić, trzeba przecież stosować się do nowych zwyczajów, nadaje to pewne stanowisko w *high-life*. Nie odmawiaj więc mojej prośbie, najlepsza mateczko.

Pani d'Ervan kochała syna tak ślepą miłością, iż pomimo, że pozostała przy swojem zdaniu, jak zwykle, uległa jednak jego prośbie.

— Rób więc jak chcesz — odpowiedziała.

Wydał służącemu odpowiedni rozkaz. Wkrótce dzwonek odezwał się poraz pierwszy; przybywająca pani była dobrze znana pani d'Ervan, więc nowa moda przeszła niepostrzeżenie.

W tem zadzwoniono powtórnie. Otworzyły się drzwi salonu i ukazała się w nich o poważnej, nieco pogardliwej postawie, wysoka, wyprostowana postać, a jej okazały aksamitny tren ciężko sunął się po posadzce.

Pani d'Ervan zamieniła z synem niespokojne spojrzenie, oboje jej nie poznali.

Feliks, który tym razem miał w pogotowiu swoje *pince-nes*, dobrze widział przybyłą, ale nie mógł sobie przypomnieć, kto to jest; jednakże z pełną gracyi galanteryą poprowadził ją do kanapy.

Nieszczęśliwa pani domu niewymowne przechodziła męki, nie wiedząc od czego zacząć rozmowę; obawiając się powiedzieć coś niestosownego, najpierw zapytała przybyłej o zdrowie, następnie mówiła o pogodzie i powietrzu — nie groziło to przynajmniej jakąś kompromitacyą. Ale co począć dalej? Nareszcie w nadziei, iż uda jej się tym sposobem poznać stanowisko męża tej pani, drżącym głosem i z biciem serca spytała:

— Mąż pani zawsze tak bardzo jest zajęty?

Z jakimże niepokojem oczekiwała odpowiedzi; a jeśli też przybyła jest wdową, separatką, lub też kanoniczką?

— Ach! mąż mój nie ma ani chwilki wolnej.

— Czy tak? — spytała pani d'Ervan, uszczęśliwiona, że jej się tak udało trafić — ależ taki nadmiar pracy może źle oddziałać na zdrowie.

— Ciągle mu to powtarzam — odpowiedziała okazała pani — ale bywają chwile, w których ani marzyć nie można o wypoczynku. Wczoraj poważne groziło mu niebezpieczeństwo.

— O! niebo! — zawołał Feliks, okazując silne zaniepokojenie. Cóż to było?

— Groziła mu utrata głosu.

— No, dzięki niebu, to jeszcze nie tak wielkie niebezpieczeństwo — rzekła pani d'Ervan.

— Co? nie wielkie niebezpieczeństwo! — zawołała pani prostując się obrażona — ależ gdyby mąż mój głos stracił, byłaby to strata cały kraj dotykająca... Gdy kto ma tak wielki talent...

— Aha! — pomyślała sobie pani d'Ervan — widać głos daje mu sposób do życia; pewnie jest adwokatem, prelegentem, lub tenorem.

— A, rzeczywiście — zawołał Feliks — mąż pani posiada głos prawdziwie fenomenalny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.**

Papier z fabryki Czerlańskiej.

Z drukarni E. Winiarza